Nr. 107. Lwów — Piątek dnia 11 Maja. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Dziś: św. Beatryksy | Dewiat mucz.
Jutro: św. Pankracego | Jakowa Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 4 m. 32
Zachód „ „ 7 „ 21

Długość dnia g. 14 m. 49
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 maja.

Projekty reform społecznych, politycznych i ekonomicznych, które teraz po prostu zalewają zachodnią Europę, mogą nas oczywiście tylko o tyle obchodzić, o ile w nich tkwi jakaś dążność ogólno-ludzka, albo jakiś prąd, który z czasem może i o nas zawadzić. Do takich właśnie projektów należy kilka z tych wielu, które jakby z rogu obfitości wytrząsnął gabinet lorda Rosebery'ego. Dość jest spis ich przejrzeć, aby się przekonać, że wprowadzone w życie, zmienią one gruntownie społeczny ustrój Brytanii i staną się poparciem podobnych żądań reformowych na stałym lądzie Europy. Wszystkie razem tworzą one więcej niż zwykłą reformę, bo wprost zupełny przewrót podstaw, na których dotąd opierał się rozwój cywilizacyjny. Projekt ustawy o dzierżawcach irlandzkich, których właściciel ziemi nie miałby prawa usuwać, zmienia odwieczne pojęcia o prawie własności. Projekt szkockiej autonomii rzuca podwaliny pod federacyjną budowę państwa. Bill o biernem i czynnem prawie wyborczem kobiet do rad hrabskich jest wstępem do całkowitego zrównania obu płci na polu politycznem. Projekt ustawy o ośmiogodzinnym dniu pracy we wszystkich bez wyjątku zawodach krępuje prawo człowieka do pracowania tyle, ile mu się podoba. Postanowienie to jest dla wielu wyrazem najpotworniejszego despotyzmu, bo tamuje wolność robotnika w dysponowaniu swą własnością, pracą, czyli jedynym kapitałem, którym rozporządza. Tym projektem sankcyonuje rząd angielski hasło socyalistyczne, wyrażające się trzema ósemkami: „8 godzin pracy, 8 rozrywki, 8 odpoczynku". Pierwszą ósemkę rząd daje, bo to bardzo łatwo, lecz kto ofiaruje dwie drugie? „*Panem et circenses*"! — wołano już w starym Rzymie. Chleb od biedy wówczas się znalazł, ale widowisk ponętnych dla tłumu rychło zabrakło. Dziś o rozrywki jeszcze będzie trudniej, bo i tłumy liczniejsze i wymagania ich rozmaitsze. Ósemka rozrywki będzie tedy najczęściej ósemką pijaństwa, szynk stanie się beczką Danaid, przez którą już i dziś przelewa się krew i znój robotniczy. I wtedy zupełnie zniknie ósemka odpoczynku, a miejsce jej zajmie ósemka rozpaczy, nienawistnych myśli i czynów, które one mu podyktują. Rząd angielski boi się tego i pragnie temu zapobiedz przez otoczenie pracy warunkami bardzo higienicznymi. Więc do projektu o „trzech ósemkach", dodaje inny, który orzeka, że we wszystkich fabrykach i warsztatach powinno być tak przestronno, iżby na każdego robotnika wypadało w dzień najmniej 250, a w nocy 400 stóp sześciennych powietrza. Zmusza przeto przemysłowców do postawienia fabryk i warsztatów na zupełnie innej stopie, na o wiele kosztowniejszej, niemal zbytkownej, co się do pewnego stopnia sprzeciwia intencyi, tkwiącej w ustawie o dniu ośmio-godzinnym, bo ów krótki dzień zamierzono wprowadzić głównie dlatego, aby każdy robotnik mniej pracował i przezto zostawił miejsce tym robotnikom, którzy dziś nie mogą znaleźć żadnego zgoła zajęcia, to zaś postanowienie o przestronności zakładów przemysłowych skazuje ubogich przedsiębiorców na zwinięcie interesu, za czem pójdzie redukcya sił roboczych ludzkich, zajętych dziś w całym kraju.

Projekt reformy podatkowej jest próbą zastósowania teoryi socyalistycznej, podług której klasy niezamożne powinny być wolne od wszelkich danin pieniężnych na rzecz państwowego skarbu. Na razie ta reforma ma być w całości zastósowana tylko do podatku od spadków, legatów i przeniesienia własności, w części zaś do podatku dochodowego. Wielkość opłaty skarbowej będzie się potęgowała w miarę wielkości majątku, lecz nie w proporcyi arytmetycznej, jeno podług wciąż rosnącej skali. Małe schedy, małe transakcye majątkowe i dochody aż do 500 funtów szterlingów rocznie będą albo wcale wolne od wszelkich opłat, albo otrzymają różne ulgi, których projekt rządowy wylicza kilkanaście. Jako zasadę przyjęto, że podatek spadkowy opłacać będzie dopiero taka scheda, od której procenta wystarczają na więcej niż dostateczne utrzymanie człowieka niezdolnego do pracy. Od najmniejszej schedy, podlegającej podatkowi, należytość skarbowa będzie wynosiła jeden procent szacunkowej wartości spadku; od większej — 2%, od jeszcze większej — 3% i tak dalej aż do ośmiu procentów, które w Anglii wynoszą tyle, co czteroletni dochód z odziedziczonej ziemi. To odrazu pokazuje, że tak zreformowany podatek spadkowy najdotkliwiej będzie odczuty przez posiadaczy ziemi, którymi przeważnie są lordowie, bo fermerzy i właściciele miejskich realności nie mają tyle gruntów, aby roczny z nich dochód wynosił 500 f. s. (przeszło 6000 złr.), zaś wszelkiego rodzaju przemysłowcy będą opłacali podatek od szacunkowej wartości budynków, narzędzi i maszyn, co wcale nie stanowi całego majątku fabrykanta, gdyż, jak wiadomo, nietylko za samą firmę nieraz się bierze duże pieniądze, ale także za koncesyę, a nawet za miejsce, na którem się znajduje fabryka, warsztat, albo sklep. Tkwi zatem w owej reformie podatkowej ta socyalistyczna doktryna, że p r a w a i korzyści powinny być jednakowe dla wszystkich obywateli, ale o b o w i ą z k i społeczne, daniny na utrzymanie państwa muszą spadać tylko na zasobnych mieszkańców. Progresyjny podatek nie jest nowym pomysłem i nawet prawie wszędzie już istnieje pośrednio, to znaczy tak, że droższe towary i mieszkania opłacają nieproporcyonalnie większy podatek. Ale progresywność poborów bezpośrednich nie jest jeszcze naukowo umotywowana, owszem znakomici teoretycy i profesorowie ekonomii poczytują progresyę w podatku dochodowym za antispołeczną herezyę. Rząd angielski nie czekał na naukowe rozstrzygnięcie tej sprawy, lecz z brawurą, właściwą gorącym temperamentom, poszedł za wskazówkami socyalistów. Balfour słusznie mógł to nazwać „skokiem w ciemność."

Takim samym, ale jeszcze zuchwalszym skokiem jest ostatni z tych reformowych projektów: bill o zniesieniu państwowego kościoła w księstwie wallijskiem. I to również pomysł nienowy, wchodzi on zdawna do programu wszystkich radykalnych stronnictw, ale nigdzie jeszcze, z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, nie poważono się go wykonać. Przykład jednak tych Stanów nie jest zachęcający i nie może być naśladowany już dlatego, że tamtejsze społeczeństwo powstało drogą nienaturalną, złożyło się z najrozmaitszych żywiołów rasowych i cywilizacyjnych, popchniętych za ocean jedną i jedyną żądzą zrobienia fortuny. Każdy emigrant europejski, stanąwszy na amerykańskiej ziemi, bynajmniej nie myślał wyrzekać się swej własnej, wyniesionej z kraju cywilizacyi, swych ideałów etycznych i religijnych. On chciał tylko zrobić majątek w ojczyźnie czerwonoskórców i potem wrócić do kraju. Naturalnie, z biegiem długich lat wyrobiło się w Yankesach pojęcie o Ameryce, jako o ich własnej ojczyźnie, ale cała różnobarwność etyczna, którą ich przodkowie wnieśli do kraju, już w nim do dziś pozostała i tworzy z tamtejszego społeczeństwa organizacyę tak odmienną od każdej europejskiej, że nawet nie zasługuje na nazwę narodu. Dlatego-to wszystkie pojęcia amerykańskie są nam obce, a ich urządzenia bardzo często nadzwyczaj dziwne. Z różnych końców świata bierze początek historya tych rzesz, które tworzą ludność Stanów Zjednoczonych, a że jednym z głównych budowniczych każdej historyi jest religia, przeto nic dziwnego, że tam żadna z nich nie zajęła dotąd panującego znaczenia. Zupełnie co innego w krajach europejskich, które się formowały i rozwijały duchowo, cywilizacyjnie, na religijnym gruncie. Nie potrzeba być konserwatystą, ani nawet człowiekiem wierzącym, żeby to mówić. Pozytywista Littré, Taine, który zastósował pozytywizm do estetyki i historyi, Backle, który do badań historycznych przykroił metodę ewolucyonistów angielskich, sam nawet H. Spencer, którego Darwin nazywał wielkim filozofem, — wszyscy oni głoszą, że aby poznać jakiś naród, trzeba wystudyować jego religię, klimat jego kraju i wszystkie pokarmy, które stanowią jego kuchnię. Wystudyować religię, to znaczy wystudyować ducha narodu. Z tego wynika, że duch ten tak zależy od religii, jak krew obiegająca po ciele zależy od serca. Dlaczegoż tedy rząd angielski zdecydował się na usunięcie w Walii tak ważnej podwaliny społecznej, jaką być musi panujące wyznanie? Rosebery rzekł, że akceptuje ten projekt ze wstrętem, minister Harcourt, syn arcybiskupa anglikańskiego, oświadczył w izbie, że z przykrością przedstawia jej tę reformę, a jednak obaj podpisali i wnieśli ją — więc dlaczego?

W Walii bardzo silny wpływ posiadają przeróżne anglikańskie sekty, które decydują o każdym mandacie poselskim, a żywią iście sekciarską niechęć do panującego wyznania. Tam owa niechęć podsyca się ustawicznie jeszcze tym faktem, że panujący kościół posiada 279.000 funtów szterlingów rocznego dochodu, majątek bardzo okazały, który sekciarscy radykaliści postanowili obrócić na różne instytucye demokratyczne, jak biblioteki ludowe, bezpłatne hotele gminne dla wędrownych robotników, bezpłatne apteki, kasyna wiejskie i t. d. Wallijscy deputowani zażądali tej reformy kościelnej, grożąc przejściem do opozycyi, a rząd, rozporządzający zaledwo paru dziesiątkami głosów większości, musiał się zgodzić, bo nie ma odwagi podać się do dymisyi.

To jest przyczyna wszystkich reform, z któremi wystąpił. Jego większość składa się z żywiołów mechanicznie złączonych w jeden obóz. Irlandczycy, Szkoci, Wallijczycy, radykaliści i socyaliści, wszyscy żądają nagrody za popieranie rządu, wszyscy ciągną w inną stronę, ale wzajemnie sobie świadczą podług kupieckiego rachunku: *do ut des* O całość, o spoistość państwa, o jego zdrowie społeczne wcale im nie idzie. A rząd wciąż wszystkim ustępuje, byle dotrwać powszechnych wyborów, które — jak się spodziewa — dadzą mu zwartą, już czysto liberalną większość. Tym zasem jednak te ciągłe ustępstwa, objawiające się takimi projektami, wytwarzają nową, chaotyczną sytuacyę. Co z tego wyniknie, trudno przewidzieć, ale to pewna, że każdy naród, nie tak flegmatyczny jak angielski i mniej od niego zdrowy moralnie, jużby wybuchnął, albo się struł takiemi reformami, które naturalnym sposobem mogłyby wniknąć w życie narodu bardzo powoli, — wiekami.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 8 maja.

Cały Wiedeń w dwóch ostatnich dniach o niczem nie mówi, jeno o szczęśliwem uratowaniu siedmiu „badaczy jaskiń", którzy w jaskini w Semriach pod Gracem przebyli od 29 kwietnia rano do 7 maja w południe — odcięci od świata w skutek wezbrania potoków, zamykających wejście do sklepień podziemnych i przepływających przez nie, — narażeni na straszne przejścia i nieochybną śmierć głodową — w końcu tylko cudem uratowani. Koszta ratunkowe przenoszą sumę 15.000 zł. Pracował dniem i nocą lud okoliczny nad wzniesieniem grobli, aby wodę potoku zamknąć i umożliwić przedostanie się do jaskini. Trzeba podnieść prawdziwe bohaterstwo ubogiego rzemieślnika, czeladnika stolarskiego, Fischera. Odważył się on przedostać do jaskini, w której chwilowo woda opadła, porozumieć się z zamkniętymi turystami, dodać im otuchy, a potem wrócił tak wyczerpany i ziębnięty, że upadł bez zmysłów i dostał gorączki. Dzielny ten człowiek wiedział, że się na śmierć naraża i wychodząc z Gracu, żegnał się ze swą gospodynią temi słowy: „Może wrócę, może nie, ale do jaskini dostać się muszę!" I kiedy się z niej wydostał, pierwsze jego słowa były: „Żyją! — *Deo gratias!* — żyją!" — Potem już nieprzytomny szepnął: „Głodni... światła nie mają... żyją..."

Czem etycy pozytywni francuscy, a ewolucyjni angielscy wytłómaczą to bohaterstwo? Jak oni „naukowo" uzasadnią to, że cały Grac był przez dni ośm w śmiertelnej trwodze o los kilku ludzi mało komu znanych? Jak uzasadnią ten sam niepokój w Wiedniu, w całej Austryi, ba, nawet i za granicą, bo naprzykład w Berlinie dzienniki osobnymi dodatkami doniosły publiczności o szczęśliwem ocaleniu turystów? Jak wytłómaczą to, że każdy Niemiec, Polak, Węgier na wiadomość o tem, że dramat pomyślnie się skończył, odetchnął radośnie i zawołał: „Niech-że Bogu będą dzięki!" Ci pozytywni i ewolucyjni filozofowie utrzymują, że jedynem wrodzonem człowiekowi uczuciem jest egoizm, z którego następnie altruizm się wytwarza, jako konieczny skutek życia w społeczeństwie, jako przymus, który mówi: „Jeśli nie będziesz ulegał przepisom społeczeństwa, to ono cię ukarze, zada ci ból, a więc uczucie przykre dla twego egoizmu." Jeżeli tak jest, to skądby się wzięło współczucie powszechne, okazywane nieszczęśliwym turystom, potem trwoga o nich, w końcu radość, że są ocaleni? Takie wypadki odrazu w proch obracają sztuczną budowlę takich niby-filozofów, których jedynem chyba zadaniem, przedstawić człowieka gorszym od dzikiego zwierzęcia.

Ale zresztą są i tacy, którzy ze wszystkiego chcą zrobić „geszeft". Tak jakiś zmyślny wiedeński agent teatralny Stubenvoll układa już plan dekoracyjnej sztuki, w której wyratowani turyści mają występować jako osoby działające. Zwrócił się on do nich z propozycyą udziału w tej „sztuce" i przyrzeka im świetne powodzenie.

W gruncie rzeczy cała wyprawa do jaskiń pod Semriach (Lugloch) nie miała charakteru naukowego, gdyż z 7 uczestników, czterej są rzemieślnikami, jeden uczniem 15-letnim, jeden urzędnikiem gazowej fabryki, jeden malarzem. W Styryi istnieją liczne towarzystwa „badaczy jaskiń", jak inne towarzystwa sportowe, stojące pod kierownictwem ludzi szukających nie nauki, lecz niebezpieczeństw i połączonych z niemi podrażnień nerwowych.

Wyratowani badacze twierdzą, że odkryli nową „prześliczną jaskinię z różnemi szkieletami, między którymi jest szkielet niedźwiedzia jaskiniowego". Za tego niedźwiedzia drogo mogli oni zapłacić! Gdyby to była ekspedycya naukowa, to z góry przewidziałaby niebezpieczeństwo spuszczenia się do jaskiń w tej porze roku, kiedy deszcze i powodzie zalewają wszystkie do niej wejścia. Ale tym razem chodziło o wyprzedzenie towarzystwa konkurencyjnego.

Bastówki wiedeńskie stolarzy i murarzy mają się ku końcowi W ostatnich dniach przyszło kilkakrotnie do starć z policyą, która stawała w obronie łamiących zmowę robotników. Dziś kilkaset stolarskich czeladników stanęło do roboty, a i wygłodzeni i nie poparci przez komitety robotnicze murarze zgłosili się do pracy. Jeśli tak dalej sprawy postępować będą, to z końcem tygodnia bastówka się stanowczo skończy, nie przyniósłszy nikomu korzyści, ale pochłonąwszy tylko sumę 3 do 4 milionów zł. w stratach wynikłych z bezrobocia.

Wybory w Bochni.

Otrzymujemy następujące listy:

Z Bocheńskiego 8 maja.

„W dzienniku *Nowa Reforma* czytamy bardzo często fałszywe wiadomości o faktach, i do tego już tak przywykliśmy, że mało zważamy na doniesienia tego dziennika. Pomimo tego uderzył nas fałsz w wiadomościach, podanych w artykule wstępnym *Nowej Reformy* z 6 maja. Twierdzi ten dziennik, że podczas świeżych wyborów posła do Rady państwa z okręgu wyborczego wielkiej posiadłości, złożonego z powiatów: bocheńskiego, brzeskiego i wielickiego Komitet centralny przedwyborczy dla zachodniej części Galicyi, „prosił, groził, namawiał, zachęcał, zaklinał, a w końcu chwycił się tego środka, iż powierzył zaufanemu adwokatowi funkcyę woźnego w dostarczaniu pełnomocnictw i kart legitymacyjnych, odmawiał ich „niepewnym", i że robił wszystko, na co tylko zacietrzewienie w takich razach zdobyć się może".

W istocie, trzeba wysokiego stopnia bezwstydności, aby wydrukować tak fałszywe twierdzenie i posłać je między ludzi. Każdemu, który przyglądał się czynnościom przedwyborczym podczas ostatniego tu wyboru posła, wiadomo dobrze, że Komitet centralny, wybrany przez Koło sejmowe — tę naczelną władzę narodową w naszym kraju, — zastosował się w swych czynnościach przed wyborem posła z okręgu bocheńskiego wielkiej posiadłości jak najściślej do regulaminu uchwalonego przez Koło sejmowe. Odezwą z 3 kwietnia rb. zawezwał prezesów Rad powiatowych trzech powiatów wybierających wspólnie posła i innych wpływowych w tych powiatach obywateli, do zawiązania komitetów powiatowych. Gdy one się ukonstytuowały i delegatów swych wysłały na zjazd, który się odbył w Bochni 12 kwietnia i tam, przyjąwszy większością głosów kandydaturę profesora Milewskiego, przedstawił ją Komitetowi centralnemu, to Komitet ów, na posiedzeniu swojem 24 kwietnia, zatwierdził jednomyślnie kandydaturę profesora Milewskiego i wezwał wyborców, aby na tego męża oddali swoje głosy, zważając, iż bardzo użytecznym dla kraju byłby wybór jego na posła do Rady państwa. Tą odezwą zakończył Komitet centralny przedwyborczy swoje działanie. W agitacyi wyborczej miejscowej Komitet centralny nie brał żadnego udziału.

Lecz niestety wzgląd na dobro kraju pokonany został względami na stosunki sąsiedzkie z drugim kandydatem, który istotnie wybrany został posłem, a który — odpowiedni może na prezesa Rady powiatowej — będzie nieużyteczny w Radzie państwa. Osoby agitujące za tym kandydatem wyzyskali ten błąd profesora Milewskiego, że nie przedstawił się wyborcom; a jeżeli nie mógł się przedstawić z powodu, iż był powołany na ankietę walutową do Londynu, to — że nie napisał odpowiedniej odezwy do wyborców.

Wszystko to jednak nie usprawiedliwia postępowania większości wyborców bocheńskich, na któreto postępowanie uderzyły słusznie wszystkie poważne dzienniki krajowe, gdyż istotnie było ono nowym oddźwiękiem dawnego „liberum veto", które tak wiele przyczyniło się do osłabienia sił naszej Ojczyzny".

Z Bocheńskiego 8 maja.

(*X. A. S.*) Słusznie położyliście nacisk na potrzebę solidarności z Komitetem centralnym, a zwłaszcza, że kurya większej własności dawać przykład w tem winna — z drugiej jednak strony każdy bezstronnie i zdrowo myślący przyzna, że stosunek tego Komitetu do wyborców polegać powinien na wzajemnem porozumiewaniu się i badaniu opinii co do ruchu wyborczego, a orzekaniu na podstawie poznanego zdania większości wyborców, który kandytat ma najwięcej pewności wyjścia z urny wyborczej, bo tylko wtenczas Komitet centralny, wymagający posłuszeństwa, salwować będzie indywidualną wolność głosu, każdemu obywatelowi ustawą konstytucyjną zagwarantowaną i wtenczas każdy uczciwie myślący obywatel posłuszny będzie wyrokom Komitetu, a opinię swą, chociażby przeciwną, złoży w ofierze solidarności.

Przeciwnie wszelki nacisk samowolny i bezwzględne życzenie, chociażby i Komitetu centralnego, idące w poprzek życzeniu i chęciom większości wyborców, musi w tychże niesmak i rozdrażnienie wywołać, bo ma w sobie charakter dyktatorstwa, które tylko w krytycznych chwilach publicznych spraw jest uzasadnionem; musi wywołać działanie odwrotne, podkopujące powagę Komitetu centralnego. I słusznie! Bo skąd Komitet centralny, złożony z ludzi przecież omylnych, jak wszyscy śmiertelnicy, z ludzi nieraz niepozbawionych amatorstwa do jakichś koteryjek i przeceniających swą znajomość osób i po-

„Le péril anarchiste." *)

Pomiędzy licznemi dziełami o anarchizmie, pojawiającemi się obecnie, zwłaszcza w głównem ognisku tego ruchu, we Francyi, gruntowną analizą teoryi i obfitością szczegółów odznacza się wymienione w tytule dzieło Feliksa Duboisa. Autor nasamprzód opowiada występy Bakunina, jego spór z Marxem i oficyalnym socyalizmem, wreszcie założenie przez Bakunina w r. 1873 stronnictwa anarchistycznego. W drugim rozdziale wyłuszcza program anarchistów, ogłoszony na kongresie w Bernie szwajcarskiem, tudzież wszystkie zamachy anarchistów, wykonane w ciągu ostatnich 20 lat. Rozdział 3-ci zawiera, aby się tak wyrazić, statystykę anarchizmu.

I tak, według badań p. Dubois, w Paryżu, istnieje około 100 kółek anarchicznych, w reszcie Francyi jest ich 400 do 500. Ponieważ każde kółko liczy w przecięciu 15 towarzyszy, ogólna liczba anarchistów wynosi około 10 000 osób przyznających się otwarcie do tego kierunku. Nadto jest dużo zwolenników anarchizmu, którzy piastując urzędy lub posady w kantorach, ukrywają się z swemi zasadami, dużo starych, znużonych, którzy się trzymają na uboczu, ale bywają uwiadamiani o wszystkich ruchach, dużo sceptyków i indywidualistów à outrance, którzy zasadniczo nie uczęszczają na żadne zebrania, ale materyalnie wspierają anarchizm. Doliczając tych wszystkich do otwartych anarchistów, otrzymamy ogólną liczbę 20 do 30.000. W r. 1890 dziennik anarchiczny „International" twierdził nawet, nieco przesadnie, że ogólna ich liczba wynosi we Francyi 50.000. Anarchiści czynni przeważnie rekrutują się nie pomiędzy robotnikami fabrycznymi, lecz pomiędzy rzemieślnikami i to zwłaszcza tymi, którzy pracując sam na sam, jak zwłaszcza stolarze, krawcy i szewcy, rozmyślają wiele nad rozpowszechnianemi teoryami o nierówności społecznej i o środkach jej zniesienia.

Teoretycznych anarchistów dostarczają wszystkie stany. Propaganda anarchizmu (rozdział IV) posługuje się plakatami, których ciekawe okazy podaje autor, zgromadzeniami publicznemi, zwłaszcza w czasie wyborów, wieczorkami „familijnemi" i śniadankami wegetaryanijnemi, pieśniami itd., w czem wszystkiem ważną rolę odgrywają kobiety. Pomiędzy temi towarzyszkami odznacza się zaciętością 40 letnia Ludwika Quitrine, autorka różnych poezyi anarchicznych i 2 dramatów, rozwódka, złączona „wolną miłością" z towarzyszem Dupratem, dalej pochodząca z Austryi żona introligatora Zwanecowa, Niemka Dotz, żona szewca i z twarzy nader podobna do Ludwiki Michel towarzyszka Moreau, itd.

Z wielką dokładnością p. Dubois wyjaśnił stosunki prasy anarchicznej. Pierwsze pisemka anarchiczne wychodziły w Lugdunie od r. 1880 pod rozmaitymi tytułami, zawsze bardzo dosadnymi, jak „La Lutte", „Le drapeau noir", „L'affaire", „La Misère" i t. d, ale bardzo wcześnie znikały z widowni. W Paryżu obecnie wychodzi regularnie co sobotę tylko jedno pismo anarchiczne: „La révolte", założone w r. 1880 przez ks. Krapotkina w Genewie pod tytułem: „Le révolté", przeniesione r. 1885 do Paryża, gdzie wskutek sądowego wyroku r. 1888 zamiast pierwotnego tytułu przyjęła dzisiejszy. Wychodząc w małym formacie 4 stron z dodatkiem literackim, „La révolte" na początku r. b. liczyła 8.500 odbiorców. Artykuły wstępne pisują Elizeusz Reclus, Krapotkin i Jan Grave, właściwy redaktor. Dwaj pierwsi są powszechnie znani. Grave był z kolei zecerem i typografem, obecnie zajmuje pierwszorzędne miejsce pomiędzy publicystami anarchizmu, odznacza się niepospolitą zdolnością popularyzowania teoryi. Wydał on także dwa obszerniejsze dzieła: „La société mourante et l'anarchie" i „La société du lendemain de la révolution", które obok pism Reclus'a i Krapotkina najdokładniej wyjaśniają teoryę anarchizmu.

Obok „Revolty" wychodził przez kilka lat jeszcze skrajniejszy „Père Peinard", wydawany przez dawniejszego subjekta w bazarze strojów, a potem w księgarni Emila Pougeta, popisujący się najcyniczniejszym stylem i zamieszczający niezmiernie podburzające ryciny, których spory szereg podaje p. Dubois w swem dziele. Wskutek zamknięcia Pougeta w więzieniu za udział w rozruchach przed pałacem Inwalidów „Père Peinard" przestał wychodzić. Zresztą pisemka anarchiczne wychodzą we wszystkich niemal językach. W Austryi po niemiecku „Zukunft" w Wiedniu, i „Allgemeine Zeitung" w Salzburgu, po czesku „Volne listy" w Wiedniu. Najbardziej rozwinęła się prasa anarchiczna we Francyi, Hiszpanii i Włoszech.

Pomiędzy francuskimi „Przeglądami anarchistycznymi" naczelne miejsce zajmował założony w r. 1891 przez Gallanda (Zo d'Axa) „En dehors", w którego administracyi był zatrudniony przez pewien czas Henry. Do głównych współpracowników należeli Octave Mirbeau, Taborant, Malato, autor dzieła „Revolution chrétienne et révolution sociale", Łucyan Descaves, autor znanej książki przeciw wojsku „Les sous-offs", Paweł Adam, A. F. Herold, syn byłego prefekta dep. Sekwany, i cały szereg jakoby młodych literackich dandysów anarchizmu, których rodzaj reprezentuje doskonale poeta Wawrzyniec Tailhade, znany z aforyzmu o zamachu Vaillanta. „Qu'importent les victimes si le geste est beau", teraz pono całkiem wyleczony z swego zapału anarchicznego wskutek rany, którą otrzymał przy zamachu na restauracyę Foyota. Tytuł wymienionego „Przeglądu" epigraf wyjaśniał w ten znaczący sposób: „Ten, który nie staje w żadnym szeregu i którym kieruje wyłącznie popęd natury, ten człowiek namiętny, o uczuciach tak różnorodnych, ten stojący po za prawem, po za szkołą, w odosobnieniu szukający tego, co jest po drugiej stronie, czyliż on się nie cechuje jednem słowem: *l'en dehors!*"

Wskutek skazania wydawcy na 2 lata więzienia „En dehors" upadł, w jego miejsce wychodzi obecnie „La revue libertaire" pod hasłem, wyjętem z pism Ibsena: „Państwo jest przekleństwem jednostki", zasilana pracami Elizeusza Reclusa, znanego socyalistycznego posła-poety Clovis Hugues, Karola Malato, Herolda, Randona i innych. Rozprawy kierunku anarchicznego ogłaszają także Przeglądy: „*Revue blanche*", której głównym współpracownikiem jest 32 letni, w ubiorze i stylu równie wykwintny Paweł Adam, autor całego szeregu powieści, i: „*L'art social*", wydawany w Marsylii przez poetę Gabryela de la Salle.

Nie poprzestając na czasopismach, anarchiści zakładają skrzętnie biblioteki dzieł, które pośrednio lub bezpośrednio wspierają prąd anarchizmu. Tak w czasopismach anarchicznych często zjawiały się odezwy tej treści „Kółko robotników komunistyczno-anarchicznych w .. postanowiło założyć czytelnię. Mamy już szereg odpowiednich dzieł, potrzeba nam jeszcze dzieł Büchnera, Haeckla, Darwina, Herberta Spencera (!), Tołstoja, Herzena, Bakunina i Elizeusza Reclus", albo też: „W Choisy-le-Roi powstało Kółko filozoficzne celem studyów i rozpowszechnienia nauk przyrodniczych, z czytelnią, naukowymi wykładami itd. Towarzyszy, którzyby zechcieli nam dostarczyć książek, prosimy wysłać je pod adresem p. Augusta Vaillanta, rue de la Raffinerie, numer 17, w Choisy-le-roi".

Wprost anarchiczny dział tych czytelń tworzą dzieła Proudhona („Qu'est-ce que la propriété?"), M. Stirnera („Jednostka i jej przyszłość"), Bakunina („Bóg i państwo"), Krapotkina („Les paroles d'un revolté" i „La conquête du pain"), Elizeusza Reclus („Evolution et révolution") Jana Grave („La société mourante"). tudzież liczne broszury podobnej treści. Pośrednio anarchiści zaliczają do swego kierunku dzieła: „Les préjugés et l'anarchie" Franciszka Guy, „Le livre des misères" Ludwiki Michel, „Révolution chrétienne et révolution sociale" Karola Malato, „Les assemblées parlamentaires" Emila Laverdays, „Germinal" Zoli, „La terre et les hommes" Elizeusza Reclus, różne powieści Dostojewskiego i Tołstoja, dramaty Ibsena, w których wybujałość indywidualizmu istotnie mocno się zbliża do anarchizmu, wszystkie książki przeciwko wojsku i militaryzmowi, jak „Sous-Off" Descavesa, „Biribi" Darriena, „La psychologie du militaire professionel" Flamona, „Le catechisme du soldat" Charmaga itd., wreszcie dzieła filozofów kierunku materyalistycznego. Herbert Spencer sam stanowczo się zastrzega

*) Paryż 1894.

trzeb kraju, jeżeli nie idzie za opinią większości, może rościć sobie pretensyę do stawiania po dyktatorsku kandydatów. Skąd to: *sic volo, sic jubeo!*

Tem mniej odpowiedniejszym jest nacisk komitetu w kuryi większych własności, gdzie prawie sama inteligencya głosuje, po zbadaniu dokładnem moralnej wartości uzdolnienia kandydata, a której nie można jeszcze odmówić poczucia dobra państwa i miłości kraju. Stawianie kandydata wbrew opinii większości tej kuryi jest jej lekceważeniem, tak, że poniżającem takiem postępowaniem, odzywających się, że dla nas Komitet centralny jest anomalią!

Amicus Plato, sed magis amica veritas! przyznać musimy niestety, że przy wyborach tu odbytych, Komitet centralny obrał drogę niewłaściwą. Piszący to, brał czynny udział niettylko jako wyborca, lecz jako członek komitetu powiatowego i delegat na zjazd trzech powiatów, a więc *sine ira et studio* i tylko dla wyświecenia prawdy, zabiera głos.

Po śmierci nieodżałowanej pamięci Atanazego Benoego, prezesa Koła polskiego, gdy dowiedziano się, że p. Izydor Włodek zamierza na opróżnione krzesło poselskie kandydować, prawie cały powiat bocheński i brzeski, jak również wielu poważnych obywateli wielickiego powiatu przyjęło tę kandydaturę sympatycznie i dało jej wyraz swój, uchwalając na pouńnem zgromadzeniu jednogłośnie popierać ją w powiecie brzeskim, a znaczną większością głosów, bo 7 przeciwko 3. Tylko w powiecie wielickim, ponieważ zaproszeni zostali na zgromadzenie ci, o których z góry wiedziano, że popierać będą kandydaturę p. dra Milewskiego, postanowiony był ten ostatni jako kandydat, co publicznie było podanem do wiadomości.

Słusznie sympatyczną musiała być kandydatura p. Włodka, który na stanowisku prezesa Rady pow. daje dowody uzdolnienia, czystego poświęcenia i rozumienia potrzeb i miłości kraju, a jako obywatel daje wzór rządności i pracy na swej ojcowiźnie, w ogóle odznacza się cnotami tak publicznemi jak i domowemi, a takie zaś, godzien zaufania współobywateli. Przez większość obywateli powiatu wielickiego postawionemu kandydatowi p. drowi Milewskiemu nikt z wyborców bocheńskiego i brzeskiego powiatu nie odmawiał fachowego uzdolnienia do zajęcia krzesła w parlamencie, nie mógł zaś i nie może tych zdolności jego tak przeceniać, że nikt, tylko p. dr. Milewski na razie jest możliwym kandydatem, bo i zbrania sam artykuł *Przeglądu* mniema, że p. Włodek będzie gorliwym o dobro kraju, jak gorliwym byłby dr. Milewski, gdyby jemu w udziale przypadł zaszczyt i obowiązek reprezentowania grupy bocheńsko-wielickiego w Izbie posłów, czyli, że w oczach p. Milewskiego możliwym jest i p. Włodek.

Wobec tak rażącej różnicy oświadczających się za p. Włodkiem i p. dr. Milewskim Komitet centralny, gdyby mu chodziło o bezstronne i dokładne przekonanie się, który z kandydatów ma większą szansę, powinien był zwołać szerokie zgromadzenie wyborców wszystkich trzech powiatów, a to zgromadzenie po wysłuchaniu kandydatów i przeprowadzeniu próbnego głosowania przedstawiłoby kandydaturę większości Komitetowi centralnemu do zatwierdzenia i popierania. Tymczasem zwołano delegatów, wybranych tylko na pouńnem (?) zgromadzeniu kilku (?) wyborców *ad hoc* powołanych, *nominatim*, a więc z pianą wybrańców, aby na rzecz już z góry ułożonej kandydatury p. Milewskiego. A przecież ani tych kilku *nominatim* zaproszonych wyborców na pouńne zebranie powiatowe, ani przez nich trzech obranych delegatów nie można było uważać za wyrazicieli woli stu kilkudziesięciu wyborców, i to bez ich woli. W ich zjeździe brał udział również i delegat Komitetu centralnego p. hr. Męciński. Oni mieli decydować o kandydaturze na posła. Przy głosowaniu p. Dr. Milewski otrzymał 5 głosów, p. Włodek 4 głosy, większością tylko jednego głosu, i to jeszcze głosu wyborcy, który na zgromadzeniu do głosowania był zobowiązany, ogłoszonym został p. Milewski kandydatem.

Wobec tego wyniku głosowania, piszący to przedstawił p. hr. Męcińskiemu, żeby, ponieważ wobec głosowania szanse kandydatów prawie się równe, a za obecną mniejszością większość wyborców stoi, jak to na zgromadzeniach powiatowych okazało się, wniósł na posiedzeniu Komitetu centralnego propozycyę zatwierdzenia obu kandydatów (był bowiem już precedens tego rodzaju) celem salwowania powagi Komitetu z jednej a dla uszanowania opinii wyborców z drugiej strony. P. Męciński obiecał to uczynić i zapewne też dziś, aby wynik głosowania na zgromadzeniu delegatów przedstawił Komitetowi centralnemu, który na zjeździe delegatów postawił kandydaturę p. Milewskiego i uwiadamiając o tem dziennikach o tem, zamilczał, że kandydatura ta tylko większością jednego głosu przeszła, natomiast oświadczył, że delegaci trzech powiatów postawili kandydaturę p. Milewskiego, co mogło wyborców w błąd wprowadzić, że delegaci powiatowi na zjeździe dnia 15 marca jednogłośnie kandydaturę p. Milewskiego postawili.

W obec tego, że kandydatury p. Włodka, jakkolwiek o jeden głos tylko w mniejszości będącej, Komitet centralny nie postawił; dalej w obec tego, że nie zasięgano opinii większego zgromadzenia wyborców co do kandydata, ale upatrzonego z góry i znaczną większością, tylko na zgromadzeniach powiatowych popartego narzucono; w końcu w obec tego, że delegat Komitetu centralnego hr. Męciński oświadczył, że Komitet centralny nie ma przeszkód, by się zwołanie zgromadzenia przedwyborczego celem narady nad wyborami, jakkolwiek kandydatura p. Milewskiego byłaby potwierdzona; kilkudziesięciu obywateli z wszystkich trzech powiatów wyborczych zebrało się dnia 27 kwietnia i wyraziło swą opinię za kandydaturą p. Włodka, którą to kandydaturę głosowaniem z wielką przewagą przeprowadzono.

Nie wchodzimy w zalety obu kandydatów, bo obaj, jak to wykazaliśmy wyżej, mogliby i mogą godnie w Izbie posłów reprezentować swych wyborców, pytamy: gdzie tu wykroczenie przeciw zasadzie, gdzie złamanie solidarności i wyłamanie się z pod karności Komitetu centralnego? Chyba, że Komitet centralny popiera zasadę majoryzowania większości przez mniejszość, a opinię i przekonanie większości dla z góry ukartowanych planów lekceważy. Tak postępując, zasłuży na lekceważenie swych postanowień. Kto nadużywa swej władzy, łatwo ją stracić może. Pragniemy inicyatywy i działania Komitetu centralnego przy wyborach, ale opartego na poszanowaniu zdania większości. Kto winien, że głos wyborców poszedł w sprzeczności z głosem Komitetu centralnego: czy wyborcy, którzy od początku solidarnie w większości popierali kandydaturę sympatyczną p. Włodka, czy też komitet centralny, który wbrew opinii większości bądź co bądź tylko na uchwale jednorazowej nienaturalnie do większości mikroskopijnej doprowadzonej, kandydaturę p. Milewskiego przeforsować pragnął? — niech na to każdy bezstronny odpowie."

Oba te listy, od obywateli bardzo poważnych, pochodzą z jednego bocheńskiego powiatu, a jednak oba znacznie się różnią w przedstawieniu faktów, co dowodzi, że w tym powiecie powstało przed wyborami wielkie zamięszanie, wielka gmatwanina sytuacyi, którą pierwej trzeba było wyjaśnić, a potem przystąpić do wyborów. Uniknęłoby się w ten sposób przykrych następstw. Dla nas jasnem jest najpierw to, że sam p. Milewski w pewnej mierze przyczynił się do własnej porażki wyborczej, bo z początku rozesłał był kilka listów do wyborców z zawiadomieniem, że nie kandyduje. Tak n. p. na posiedzeniu komitetu powiatowego w Brzesku, członek tego komitetu p. Jastrzębski odczytał taki list p. Milewskiego, wskutek czego postawiono tam jednomyślnie kandydaturę p. Włodka. Następnie, gdy na życzenie wielu wybitnych naszych posłów przyjął kandydaturę, to nie pojechał na żadne zgromadzenie obywatelstwa bocheńsko-brzesko-wielickiego, nie wyłuszczył przed wyborcami swych zapatrywań politycznych, słowem, nie pomyślał wejść w kontakt choćby listowny z tymi, których miał być wybrańcem. Takie zaniedbania, których bezwarunkowo być nie powinno, mogły dotknąć wyborców — i to jest dla nich, mówiąc językiem naszych sądów, „okolicznością łagodzącą" fatalne znaczenie ich głosowania. Następnie jasnem jest dla nas, że p. Włodek wiedział, iż Komitet centralny, działający z ramienia Koła sejmowego, zatwierdził inną kandydaturę; wiedział, że tę kandydaturę postawiły komitety powiatowe; wiedział, że kurya obywateli ziemskich przedewszystkiem powinna świecić przykładem karności politycznej i szanowaniem postanowień władzy, wybranej przez Koło sejmowe; wiedział to wszystko, a jednak nie cofnął swej kandydatury, nie prosił o walne zgromadzenie wszystkich wyborców, na którem porozumianoby się co do wszelkich różnic z Komitetem centralnym. Przecie to, co list X. A. S. zarzuca temu Komitetowi, można zupełnie tak samo zarzucić zwolennikom pana Włodka. — Jakież możemy mieć zaufanie do człowieka, który tak rozpoczyna swą polityczną karyerę, iż można mniemać, że lekceważy postanowienia organów wyborczych? Zaznaczyliśmy już poprzednio, że poseł tak wybrany, — wbrew decyzyi komitetów powiatowych i postanowieniu Komitetu Centralnego, — wbrew poważnej opinii całego kraju, a większością głosów bardzo małą, — nie może liczyć na dobre przyjęcie w naszem wiedeńskiem Kole, solidarnem z Sejmem i jego Kołem. Sądziliśmy, że p. Włodek wnet zrozumie, w jakiej postawił się sytuacyi i wyjdzie z niej jak najprędzej. I dziś jeszcze trudno nam się wyrzec nadziei, że on to zrobi, w przeciwnym zaś razie będziemy wiedzieli, że on swą ambicyę wyżej stawia od woli organów wyborczych, ustanowionych przez Sejm, i od opinii całego kraju, która nie może, nie powinna zapomnieć i nie zapomni tego złamania karności.

---

przeciwko wszelkiej wspólności z anarchizmem; jeżeli uznali anarchiści często go zaliczają do swoich, to na mocy jednej jego książki: „Jednostka wobec państwa", w której wprawdzie socyolog angielski oświadcza się stanowczo przeciwko nieustannemu rozszerzaniu kompetencyi państwa i pochłonięciu przez państwo wszelkich praw i swobód jednostek, ale bynajmniej nie neguje potrzeby państwa i władzy.

Oczywiście tak systematyczna propaganda słowa, pisma i czynu, niezmiernie zwiększa niebezpieczeństwo anarchizmu. Między zwolennikami anarchizmu spotyka je on pomiędzy uczonymi, włościanami, literatami, robotnikami, pisarzami, kupcami, artystami, urzędnikami, oficerami, nawet, jak to wykazały ostatnie wypadki we Francyi, w biurach ministeryalnych. Wymieniony już kilkakrotnie A. Hamon, autor dzieł „France sociale et politique" i „Psychologie du militaire professionel", zamierzający napisać „Psychologię anarchizmu", zwrócił się do anarchistów różnego stanu i powołania z szeregiem zapytań, mianowicie: dlaczego zostali anarchistami? Z zebranych odpowiedzi wynika, że głównie czynnikiem anarchizmu jest: duch oporu i rokoszu, przesadne zamiłowanie wolności (bez poczucia obowiązku), wygórowany indywidualizm (stąd tylu młodych poetów i artystów skłania się do anarchizmu), altruizm, powab nowości i propaganda. Oczywiście ta klasyfikacya nie wyczerpuje bynajmniej zagadnienia, zwłaszcza o ile chodzi o anarchistów czynu jak Ravachol, Vaillant, Henry.

Szczególnie niebezpiecznym i podbijającym w pewnych warstwach, staje się oczywiście istny kult, apoteoza „męczenników" anarchizmu. W tym względzie Dubois w ostatnim rozdziale swej pracy podaje nader ciekawe szczegóły. Kult ten w obrazach, mowach i pieśniach zastosowano naprzód do powieszonych w roku 1887 w Chicago czterech anarchistów. Na wielką skalę odbywała się apoteoza Ravachola, o którym np. p. Adam w Przeglądzie „Les entretiens", ogłosił długi artykuł pochwalny, kończący się słowami: ...„Nie można zaprzeczyć jego miłosierdzia, jego bezinteresowności; potęga w czynie i odwaga w obec śmierci, podnoszą go aż na wyżyny legendy. W tych czasach egoizmu i ironii, urodził nam się święty (!!!). Krew jego będzie przykładem, którym zahartuje się odwagę nowych męczenników" i t. d. Teoretycy anarchizmu nie odważyli się wprawdzie zaprotestować głośno przeciwko temu kultowi Ravachola, nie zgadzali się z nim jednak zupełnie. Obawiali się bowiem, że tym trybem każdy najpospolitszy zbrodniarz, nie mający nic a nic „symbolicznego", zdoła wyjść na męczennika anarchizmu. Za to skwapliwie wspierali apoteozę Vaillanta, któremu przynajmniej nie można było zarzucić prostego zabójstwa i złupienia grobów. Łatwo przewidzieć, jakich potwornych demonstracyi dopuszczą się nad grobem najnowszego „męczennika" anarchizmu — Henry'ego!

* * *

Kto winien?

(Dokończenie).

Tu znowu występuje kwestya odpowiedzialności społeczeństwa i władzy, sprawiedliwego rozdziału odpowiedzialności między te dwa czynniki. Kwestya bardzo trudna. Rzecz prosta, że władza nie może wpływać na przekonania i wolę obywateli, i jeżeli ci robią rzeczy z dobrem ich kraju i sprawy niezgodne, to władza w konstytucyjnem państwie nie ma prawa im przeszkadzać, chyba że materyalnie przekraczają jakieś kodeksowe przepisy. Z drugiej strony znowu, rzecz jest równie prosta i jasna, że społeczeństwo całe, jak jest, nie może (i nie zdoła nigdy) swojego politycznego położenia i interesu należycie rozumieć. Muszą w niem być ludzie do takiego rozumienia niezdolni, zatem zdolni zawsze zrobić coś niepotrzebnego, publicznemu dobru przeciwnego.

Zatem władza, która o tem wie, a przeszkodzić temu nie może, powinna przezornie uprzedzać i wymijać to, co według logicznych przewidywań może być okazyą do nieporządku, a swojemi rozporządzeniami lub zezwoleniami skierować okazyę na taki tor, żeby nieporządek trudniej mógł z niej wyniknąć. Jeżeli się zaś zdarzył, to przerwać go w pierwszej chwili, kiedy jeszcze był mały i nieznaczny. Gdyby n. p. za pierwszego napastowanego żyda, za pierwszą wytłuczoną szybę policya była pierwszego ulicznika złapała i wsadziła do kozy, to drugi byłby się już hamował w zapale; a gdyby była złapała kilku, to liczba tych ochotników nie byłaby urosła w setki, i wojsko nie byłoby wystąpiło na ulicę. Pobłażliwość zbyteczna jest złą w takich razach usługą, złą i dla władz samych, i dla kraju. Bo złe żywioły, jakie w każdem społeczeństwie być muszą, nabierają pewności siebie, zaprawiają się coraz lepiej w swojem rzemiośle, aż w końcu zrobią coś takiego, że strzały padać muszą. Przed miesiącem przytaczaliśmy przykład Węgier, przypominamy go i teraz. Było tam stanowczo za wiele tego „koszutowania", które nasze dzienniki wychwalają, a które w przyszłości może sprowadzić na ten kraj szkody niepowetowane. Gabinet zaś tak długo uprzejmie zamykał oczy na wiele rzeczy, że aż przyszło do starć z wojskiem i w mieście i na wsi. U nas proporcye tych zajść byłyby zapewne mniejsze, ale ich szkody nie.

Nie można powiedzieć, żeby w ostatnich burdach krakowskich władze nie miały żadnej winy. Zabrakło im przezorności z góry, przytomności i stanowczości podczas. Zabrakło tej pamięci, że gdzie nie ma pewności, iż ludność sama wstrzyma się od wybryku, tam trzeba jej takowy utrudniać postępowaniem spokojnem, ale nie zbaczającem od raz wytkniętego kierunku.

Społeczeństwo samo nie ma, jak władza, materyalnych mechanicznych środków do strzeżenia lub przywrócenia porządku; ma tylko środki moralne, które działają powoli, a w chwili nieporządku oczywiście nie zdadzą się na nic. Czy ma z tego wynikać, że ono nie ma winy żadnej, i nie jest odpowiedzialne za to, co się dzieje? Przeciwnie, jest, i bardzo. Zwłaszcza, przedewszystkiem, jego część najrozumniejsza i najstateczniejsza.

Ta bowiem wie dobrze, że obchody i demonstracye są naprzód marne i czcze, a potem szkodliwe. Wie, że one grożą nieszczęściami pod rządem rosyjskim, a głupstwami lub szkodami pod austryackim. Wie, że źle jest poddawać się potulnie woli każdego i rozkazom każdego, kto chce cokolwiek „urządzić." Wie, że od obchodów i zgromadzeń na ulicach, zaczęło się nie powstanie w Królestwie, ale to posłuszeństwo komitetom centralnym i rządom narodowym, które do nieszczęścia doprowadziło. Wie, że polityka tych komitetów centralnych, czy rządów narodowych, żyje gdzieś w Zurichu i Genewie, a tu u nas ma swoich zwolenników.

Wszak w roku 1891 były składki jakieś w Królestwie, a nie dawniej jak zeszłego lata, czytaliśmy drukowane w tutejszych dziennikach, podpisami opatrzone skontro z kasy skarbu narodowego. Nie jest to więc tajemnicą dla nikogo. Otóż, kto tej polityki nie wyznaje i nie chce, a takich jest dużo, ten powinien mieć zawsze na oku i odpierać stanowczo wszystko, co z tego źródła pochodzi, co tej polityce służy, co z nią jest w zależności. Sposoby po temu są dwa. Jeden, trzymać się zdala od ludzi i pomysłów z taką polityką związanych, oświadczać się przeciw nim głośno, stanowczo i systematycznie. Drugi, swoją czynnością i zapobiegliwością wytrącać im broń z ręki, a swój wpływ szerzyć. Niestety, jedno jak drugie bardzo u nas zaniedbane. Jest zrozumienia więcej, niż dawniej, jest dobra chęć; wykonania brak. Przed trzema laty, kiedy przy sposobności rocznicy 3-go Maja, wyszły na jaw różne zabiegi dzisiejszych epigonów dawnej emigracyi, które sprowadziły aresztowania w Warszawie, poczuliśmy się do obowiązku przeciwdziałania. Utworzyliśmy nawet t. zw. „Związek narodowy", który miał ludzi statecznych jednoczyć, a złym pomysłom, czy dążeniom, stawiać zaporę. Ale gdzie on jest? gdzie jego działanie, wpływ, skutek? Zawiązać się, napisać statut, nie wystarcza, trzeba myśleć, pamiętać, uważać, przewidywać, wskazywać i działać ciągle. Gdyby ten związek nie był o tem zapomniał, to prawdopodobnie on byłby stanowił o obchodzie Kościuszkowskim, o jego rozmiarach i kierunku. Skarżymy się na wzrost — już prawie niebezpieczny — różnych w naszem społeczeństwie kierunków, socyalistycznych, rewolucyjnych, antisemickich, i t. d. Wzrost jest: ale czy nie dlatego, żeśmy na początki zamykali oczy i nie próbowali się oprzeć? że mamy ten nieszczęśliwy zwyczaj tolerowania i przemilczania złego, kiedy właśnie w początkach trzeba je otwarcie wskazać i karcić. Półgębkiem, z restrykcyami, przyznajemy słuszność tym, co naszych własnych zasad bronią; półgębkiem, z restrykcyami i tysiącznemi okolicznościami łagodzącemi, nie przyznajemy słuszności tym, co nasze zasady i naszą politykę biją! Mamy oba oczy czujnie otwarte na każdą pomyłkę, czy słabość pierwszych; mamy zawsze jedno oko starannie zamknięte na zamiary i roboty drugich. Chodzi nam zawsze o to, żeby ci drudzy nie mogli powiedzieć, że myślimy, jak ci pierwsi: a przez to naturalnie, stronniczy przeciwko sobie samym, osłabiamy własną zasadę i politykę, przeciwnej pomagamy do zwycięstwa. I dlatego pośrednio winni jesteśmy tym ostatnim wybrykom i my także, i nie mało winni. Władza nie ma środków działania na opinie i przekonania; społeczeństwo nie ma mechanicznych środków działania. Z osobna i pojedyńczo, żaden z tych czynników nie wystarczy; potrzebne jest wspólne, równoczesne i ciągłe działanie obu. Ale jeżeli każdy z nich będzie się tylko oglądał na drugi, jeżeli będzie mówił drugiemu: „Ty rób, bo ja nie mogę"; jeżeli tą wymówką uspokoi, a raczej złudzi swoje sumienie, to i jeden i drugi mogą dojść do niespodzianek wcale nieprzyjemnych. Bo to wcale nie powiedziane, i nie pewne, że burda 31. marca ma być ostatnią.

A kto winien najwięcej! Odrzucimy piłkę naszym dziennikom *postępowym* i powiemy, że ani niegodziwi arystokraci, ani tchórze i zdrajcy Stańczyki, tylko one — dzienniki *postępowe*. Kto przez lata wmawiał w tę ludność, że wolność i postęp zasadza się na krzykliwej opozycyi, a miłość Ojczyzny na deklamacyi i demonstracyi, kto wszelki wybryk, wszelkie nieposłuszeństwo, wszelką niesforność brał pod skrzydła swej opieki i wystawiał jako zasługę, odwagę, heroizm, karność jako pogwałcenie prawa i krzywdę, a rozum polityczny jako nikczemne służalstwo, kto całe pokolenie wychował w czci i ufności dla polityki komitetów centralnych i jednem słowem nigdy nie zganił ani jej błędów, ani jej skutków, kto uczył, że powaga rozumu i charakteru społeczeństwom nie potrzebna, a ich wolności szkodliwa, kto niewytrawnych lub nieoświeconych głaskał pochlebstwem i udawał wiarę w ich nieomylność na to, by oni dobrodusznie jego za nieomylnego uznali, kto gorszące sceny przy wyborach we Lwowie i w Stanisławowie wystawiał jako akta wolności i woli ludu — ten jest winowajcą głównym i powodem wszelkiego złego i wszelkiej szkody, jaką na kraj ściągnąć może dziś, czy później część ludności przez niego fałszywemi pojęciami napojona i otumaniona, a przez innego do jeszcze innych celów i widoków uwiedziona i nadużyta.

Nic nie pomoże i na nic się nie przyda *post factum* wpadać w złość, oburzać się na gawiedź, a to co ona zrobiła, nazywać *łotrostwem*. Trzeba było pierwej o tem pamiętać i starać się, żeby ona wiedziała co jest łotrostwem, a co uczciwością, żeby rozeznawała kto łotr a kto człowiek porządny, kto rzetelny a kto farbowany, co prawda a co fałsz, co honor a co nikczemność. Ale kto takiego wychowania tej *gawiedzi* nie dawał, tylko jej dawał przeciwne, ten nie ma prawa mówić jej grubiaństw. I na skutki takiego wychowania nie poradzi policya. Mógłby poradzić wpływ uczciwej, rozumnej, prawdziwej... reformy.

Ale może za wiele o tem mówimy, za wiele przypisujemy wagi rzeczy drobnej i błahej? Burda na ulicy bez dalszych następstw, to zjawisko zwykłe i częste. Były przecież gorsze w Pradze, w Peszcie, wszędzie, a nikt nie brał ich tragicznie?

Burda i szyby wybite same przez się są niczem. Ale w związku, jako symptomat, są złe i nie bez wagi. Nie jest to bowiem rzecz oderwana, sporadyczna; owszem wiele oznak dowodzi, że „jest metoda w tem szaleństwie". U nas, wyszukiwania i mnożenie protekstów do coraz nowych obchodów. W Warszawie (co o wiele ważniejsza) jakiś gromadny pochód przez ulice, a w skutku tego liczne uwięzienia młodzieży. Składki zbierane przed trzema laty na skarb narodowy tam, a przed rokiem drukowane sprawozdanie z stanu kasy tego skarbu. W Krakowie tłuczenie szyb, we Lwowie jego obawa, usunięta tylko przygotowaniem na czas. To wskazywałoby, że „metoda w szaleństwie" kierowana jest jakąś ukrytą ręką polską. Zaś powtarzające się podobne i gorsze rzeczy w Pradze i w Peszcie, nasuwają myśl, że inicyatywa może być jeszcze wyższą, i że ogólny jakiś komitet rewolucyjny potrzebuje niepokojów i rozruchów w państwie austryackiem. Jedno drugiego zresztą nie wyłącza, owszem, jedno z drugiem może się doskonale łączyć. Kto nie wie, albo nie pamięta, że wypadki warszawskie zaczęły się od niewinnych demonstracyi i od wywodzenia ludu na ulicę, kto nie wie, albo nie wierzy, że jest ogólna na całą Europę rewolucyjna polityka i tajna władza, która i polskiemi sprawami łaskawie (a szczęśliwie!) opiekuje się i kieruje, ten może obojętnie, i dodajmy, lekkomyślnie, patrzeć na zjawiska, które przypominają rok 1861 i 1862 i ówczesne tak zwane „organizacye". Kto te czasy pamięta, te związki zna, a ich skutki należycie ocenia, ten choć wie, że powstania w Galicyi nikt nie chce, na te podobieństwa obojętnie patrzeć nie może.

A w końcu jeszcze jedno. Niebyliśmy ani na kopcu Kościuszki, ani na wieczorze w sali Sokoła, ani na tak zwanym „wiecu ludowym" dnia 1 kwietnia. Wszelako znając sprawy ludzkie, musimy myśleć, że w tym razie jak w każdym innym część zewnętrzna i malownicza obchodu była dekoracyą, a właściwie myśl i chęć tych, co obchód urządzali, wyrażała się w przemówieniach, na posiedzeniach i obiadach. Szukaliśmy tych przemówień w urzędowym organie tak zwanego postępowego stronnictwa; ale w całej osnowie znaleźliśmy ich mało. Dwa tylko wypowiedziane na kopcu a jedno (p. posła Lewakowskiego) w sali Sokoła. W tych znaleźliśmy dużo oklepanych frazesów i trochę nieznajomości historyi, i... parę ustępów wypuszczonych, oznaczonych kropkami. Co tam było, domyślać się ani chcemy, ani potrzebujemy. Spotykamy wszakże jedną uchwaloną rezolucyę, która mówi, że zebrani na wiecu włościanie oświadczają się za głosowaniem powszechnem, bezpośredniem, i domagają się takiego od Rady Państwa, i drugą rezolucyę, mocą której, „wiec uznaje za konieczne skupienie jednostek w wielką organizacyę demokratyczną, któraby walczyła o rozszerzenie praw obywatelskich na całe społeczeństwo, o szerzenie zasad demokratycznych i utworzenie reprezentacyi demokratycznej etc".

Że na tym wiecu niby włościańskim było włościan bardzo mało, że włościanom najmniej zależy na głosowaniu powszechnem i na „skupieniu jednostek w wielkiej organizacyi demokratycznej", to rzecz dobrze i powszechnie wiadoma. Że wciągnięcie ich w taką organizacyę i agitacyę jest marzeniem i celem niektórych t. zwanych demokratów, to wiadomo także. A że to występuje przy okazyi Kościuszkowskiego obchodu, więc nasuwa logiczną uwagę i wniosek, że obchód był pretekstem, a prawdziwym celem te narady i te uchwały. To są znowu złe i gorsze od wybijania szyb. Naprzód są komedyą, są nieprawdą. To nie lud wiejski ten wiec urządzał, to nie on wnioski wymyślał, to nie on rezolucye uchwalał. — To wszystko za niego, pod jego pozorem i w bardzo nielicznej asystencyi jego *ad hoc* wybranych, a nie wyborowych reprezentantów, robili inni, a lud wiejski i całą publiczność kraju swoimi dziennikarskiemi relacyami durzyli i zwodzili. Ale co już nie jest komedyą, a jest prawdą, to usiłowanie i plan wciągnięcia ludu w taką organizacyę, przeniesienie na wsie tej agitacyi niby politycznej, niby społecznej, a na prawdę ogłupiającej tylko i demoralizującej. Już się ta robota zaczęła i prowadzi przez socyalistów z jednej strony, przez nieszczęsnego księdza własną winą wykolejonego i wściekłego w nienawiści do drugich za złe, które sam na siebie ściągnął. Owa rezolucya odsłania nam widok nowych starań w tym zdrowym i patryotycznym duchu i kierunku. Te zaś zamiary godzą już nie w szyby okien, ale w samą podstawę i równowagę społecznego porządku, w dalszem następstwie narodowego bytu. Jak się sprawie polskiej przysłużyły Towarzystwa demokratyczne ze swoją polityką i swoją tak zwaną miłością ludu, to wiemy. Kiedy więc jawi się cokolwiek, co ich tradycyę i dążność przypomina, to na prawdę trzeba się mieć na baczności, bo w niebezpieczeństwie nie szyby, ani nawet głowy, tylko w niebezpieczeństwie może być ojczyzna, z tem, co jeszcze ma sił i życia, z tem, co jeszcze może mieć przyszłość.

Dlaczego dzienniki postępowe zapisują tylko krótko, że przemawiał pan ten i ów, a nie podają ich przemów? Słyszeliśmy tylko, że na wieczorze w „Sokole" jeden mówca z Wielkopolski dowodził, że powstań podnosić nie można ani tu, ani gdzieindziej, bo toby było zgubą Ojczyzny. Skoro dowodził, to znać potrzebował dowodzić! Skoro zbijał, to znać musiał ktoś przed nim twierdzić! A ta druga mowa, która tłómaczyła włościanom, że nie powinni słuchać tych, co im zalecają posłuszeństwo względem rządów zaborczych? Czy jej wcale nie było, że jej nie ogłoszono? jeżeli tak, to chyba zgodnie zmówili się kłamać liczni świadkowie, którzy zaręczają, że ją słyszeli. Jeżeli zaś była, a nie ogłoszono jej, to czy nie dlatego czasem, żeby i czytelników nie spłoszyć, i nie wejść w kolizyę z prokuratoryą? Tylko w takim razie, jak mogła być wypowiedzianą, i dlaczego była wypowiedzianą?

Dość, że ze wszechmiar obchód skończył się smutno i źle. Z tych ważniejszych naprzód; a potem z tego, że pamięć Kościuszki i w Krakowie jeszcze, powinna była być święconą pięknie i zaszczytnie, a nie w taki sposób, o naszych narodowych uczuciach świadczyć. „Pojmuję i cenię, że się czci pamięć narodowych bohaterów" — miała się wyrazić jedna wysoko, bardzo wysoko stojąca osoba — „ale żałuję, że ją tak uczczono w Krakowie". Bardzo znowu skromny człowiek, domowy służący z Ukrainy, zrobił inną uwagę: „Tam policya każe robić iluminacyę; no i darmo, jak kazała to trzeba. Ale przynajmniej szyb nie tłucze. Tutaj uliczniki każą oświecać okna, a potem oświecone wybijają". To już za dużo. A jeden z tutejszych dzienników pisze: „Co bez myśli się zaczęło, a bez głowy było prowadzone, to musiało się skończyć niedorzecznością".

I gdyby tylko niedorzecznością! A i upokorzeniem, wstydem! Doprawdy i Kościuszce i Krakowowi przystało co innego. — W Warszawie zaś uwięziono do dwustu osób, młodych uczniów po większej części jak słychać! Co się z nimi stało? Jaki ogon nieszczęść powlecze się przez kraj i aż daleko na wschód i północ, za tym pochodem przez Stare Miasto? Jaki ubytek polskiego ducha wyniknie z takiego jego budzenia i objawiania?

Nie trzeba zaś ufać bezpiecznie, jakoby i tu u nas nie mogłoby być skutków gorszych, niż chwilowa przykrość. Nie przestaniemy przypominać i powtarzać, choćby zawsze bez skutku, że ostrożność i tutaj potrzebna. Przyznajemy i uznajemy ze szczerą wdzięcznością, że wojskowość zachowała się w tych burdach z wielką wyrozumiałością i spokojem. Wybicie szyb w koszarach i u jenerałów, w innym razie, w innem mieście, z innemi osobami i usposobieniami, może byłoby wywołało gniew, skargi i postępowanie ostre. Ale, że raz się udało, nie trzeba mniemać, iżby zawsze udawać się musiało. Mamy my dobrych przyjaciół w różnych sferach: i wojskowych, i politycznych i dyplomatycznych. A czy wiemy, czy te wybryki nie posłużą im w danym wypadku za środek i broń przeciw nam? Owszem: możemy przypuszczać, że i te wybite szyby i te pogróżki i te odezwy konfiskowane i znowu pozwalane, i te różne przemowy nie drukowane, ale wiadome, były tam zapamiętane i nakarbowane. Zagraniczne, dyplomatyczne czynniki i wpływy, mogą też odwoływać się do nich i okazywać urazę. Jak się takie dwa wpływy połączą i sposobną psychologiczną chwilę dobrze upatrzą i wybiorą, mogą rozpocząć swoją przeciw nam kampanię, a w tych wybrykach i wykrzykach, które wydają nam się tak błahe i bez znaczenia, znaleźć dowody na swoje ulubione twierdzenie: „Die Polen sind unzuverlässig".

A wtedy może być nam źle. Znamy tę politykę, której zasadą i hasłem jest „im gorzej, tem lepiej", i nie dziwilibyśmy się, gdyby ta chciała właśnie żeby tu było źle. Ale przypominamy i przestrzegamy że rządy austryackie bywają długo cierpliwe i flegmatyczne, ale przychodzi chwila znudzenia czy rozdrażnienia, w której nagle i dorażnie zmieniają front i sposób postępowania. — Nadużycie naszych obchodów i manifestacyi, może taką chwilę sprowadzić, a powolność względem tej polityki demonstracyjnej, którą w swoim czasie prowadziły tak zwane rządy narodowe, mogłaby jeszcze kiedy sprowadzić przywrócenie rządów niemieckich. To przypominamy i społeczeństwu naszemu i naszym urzędom. I dlatego nietylko ze względu na Królestwo, ale ze względu na Galicyę także, mówimy i mówić nie przestaniemy: „Dość już tej złej polityki".

Tyle już razy naszem postępowaniem sprawdziliśmy, czyż zawsze mamy sprawdzać słuszność gorzkiej przepowiedni Kochanowskiego:

„Nową przypowieść Polak sobie kupi,
że i przed szkodą i po szkodzie głupi".

KRONIKA.

Lwów 10 maja.

Mianowania. Minister sprawiedliwości przeniósł kontrolera zakładu karnego w Stanisławowie, Brylę, do zakładu karnego we Lwowie i zamianował adjunkta zakładu karnego, Michułowicza, kontrolorem zakładu karnego w Stanisławowie.

Konkursa. Wydział Rady powiatowej w Kolbuszowej ogłasza konkurs na posadę lekarza okręgowego z roczną płacą 500 złr. i ryczałtem na objazdy w kwocie 200 złr. — W Złoczowie są do obsadzenia dwie posady nauczycielek w tamtejszej szkole żeńskiej. — Instytut Stauropigiański rozpisuje konkurs na stypendyum z fundacyi Marc. Prokopowicza o rocznych 100 złr. dla uczniów gimnazyalnych i studentów Uniwersytetu.

Obchody kościuszkowskie. W Busku odbył się obchód kościuszkowski za inicyatywą kółka tow. pedagogicznego.

Przedstawienie magiczne. W miarę zbliżania się wystawy zaczynają przyjeżdżać do Lwowa rozmaici przedsiębiorcy. Cyrk Sidolego na placu Franciszkańskim jest już na ukończeniu. „Iluzyonista“ Thora, który zeszłego roku dał we Lwowie 47 przedstawień magicznych ze znacznem powodzeniem, zapowiedział swój pobyt od 19go maja do końca czerwca. Przedstawienia te dawane będą w letnim teatrze.

Muzyka wojskowa grać będzie jutro w piątek w Ogrodzie miejskim. Początek produkcyi o godzinie szóstej.

Deputacya w sprawie sądu. Wczoraj bawiła w Wiedniu deputacya złożona z adwokata dra Trybulca, burmistrza dra Serafińskiego i wiceburmistrza Michnika w sprawie ustanowienia w Bochni sądu obwodowego. Deputacya ta udała się z dr. Rutowskim do prezesa Koła polskiego i do ministra, gdzie otrzymała korzystne zapewnienia.

Rozruchy. W Grajewie, na granicy Królestwa Polskiego i Prus, przyszło do wielkiej awantury pomiędzy handlarzami żydowskimi a robotnikami, zatrudnionymi przy budowie koszar. Robotnicy ci napadli na domy żydowskie, porozbijali drzwi i okna i zburzyli sklepy. Wojsko musiało tłumy rozpędzić, przyczem podobno 4 osoby zginęły, a około stu jest rannych.

Z Grzymałowa donoszą nam, że 7 bm. w nocy spłonął dom ubogiej wdowy, a w ogniu spaliła się trzynastoletnia dziewczynka, która chciała wyratować trochę sprzętów.

Pożar zbiorów Benedykta Tyszkiewicza. Wioska Wiała, własność hr. Benedykta Tyszkiewicza, położona na Litwie, spłonęła do szczętu. Pastwą płomieni padł pałac, posiadający wspaniałą galeryę obrazów współczesnych mistrzów, bogate zbiory starożytne i cenną pracownię fotograficzną, urządzoną kosztem 40 tysięcy rubli srebrnych. Hr. Benedykt Tyszkiewicz jest, jak wiadomo, zapalonym amatorem kunsztu fotograficznego i nie ma nowości w tej dziedzinie, którejby u siebie nie stosował. Pracownia w Wiałej znaną była nietylko w kraju, a liczne wystawy obdarzały reprodukcye fotograficzne, z niej wychodzące, złotymi medalami. Dziś z kosztownych aparatów pozostała góra popiołu. Pożar powstał skutkiem nieuwagi służącej, zatrudnionej w piekarni. Ratunek dosyć niedołężny, w czasie nieobecności pana w domu, nie mógł ocalić niczego. Straty przedmiotów nieubezpieczonych obliczają na sumę 800 000 rubli.

Oryginalny kongres. Wśród kongresów najrozmaitszego rodzaju o jakich w naszych czasach nieustannie słyszymy, niewątpliwie jednym z najoryginalniejszych będzie „czwarty kongres austryackich palaczy fajek“, który odbędzie się w Wiedniu w ciągu dni ostatnich od 12—15 bm.

Arcyksiężna Blanca, małżonka arcyks. Leopolda Salwatora, powiła we Lwowie dnia 8 bm. o g 11 rano córkę. Według biuletynów lekarskich arcyksiężna i nowonarodzona arcyksiężniczka mają się zupełnie dobrze. Obrząd chrztu św. nowonarodzonej arcyksiężniczki odbędzie się prawdopodobnie w przyszłą środę (16 bm.) o godzinie 11 rano w katedrze łacińskiej.

Napaść rosyjskiego żołnierza. Z Załoziec donoszą nam: Dnia 4 bm. pomiędzy włościanami z Milna a rosyjską strażą graniczną zdarzyła się następująca scena:

Włościanka Anna Swyreda z dwiema innemi poszła zbierać trawę na swoje pole w pobliżu granicy. Stojący na warcie żołnierz rosyjski spostrzegł je i począł wołać do siebie, ale kobiety nie słuchając szły dalej. Wtedy żołnierz rozgniewał się za niemi, a w połowie drogi przystanął, zmierzył i wystrzelił z karabina. Kula przeszyła obie nogi Anny Swyredy poniżej kolana. Kobieta padła bez przytomności, a przerażone jej towarzyszki nie mogły jej udzielić żadnej pomocy. Żołnierz, widząc to, zarzucił karabin na ramię i poszedł dalej granicą. Dopiero w kilkanaście minut potem kobiety nieranione, ochłonąwszy, dały znać do wsi. Biedną kobietę przywieziono z pola. Miejscowa żandarmerya udzieliła jej pierwszej pomocy i nie odstąpiła od niej aż do przybycia lekarza miejskiego z Załoziec, który ciężko ranną wziął w swoję opiekę.

Z Tarnopola nam piszą:

Sympatyczne nasze Towarzystwo przyjaciół muzyki urządziło w zeszły wtorek (8 bm.) ostatni w tym sezonie koncert, połączony z przedstawieniem teatralnem. Z programu nader urozmaiconego zasługują na wszelkie uznanie odegrane przez p. Kołakowskiego i pannę Tertil na fortepianie „Rapsodya węgierska“ Liszta, tudzież efektownie przez chór mięszany odśpiewana idyla Weinzierla „Czar wiosny“. Wieczór zakończyła sztuka ludowa w jednym akcie „Wigilia św. Andrzeja“, (muzyka Świerzyńskiego), w której walczyli między sobą o lepsze pp. Pohoreccy i Hauswaldowie, panowie: Dembiczak, Skowroński, Małaczyński i Schmidt, oraz panie: Wierzewrzek, Kalicińska, Lang i Kraus. Dochód z tego koncertu wynosi około 100 zł. brutto.

We wtorek o dziewiątej z rana wszczął się pożar na folwarku pana Pohoreckiego, oddalonym o kilometr od Tarnopola. Pożar byłby przybrał groźne rozmiary, gdyby nie rychła pomoc naszej doskonale zorganizowanej straży ogniowej. Szkoda nieznaczna.

We środę z rana odbyło się w tutejszym kościele rz. kat. parafialnym żałobne nabożeństwo za spokój duszy podporucznika 15 pułku piechoty śp. Ottona Oppenheimera, który przed kilkoma dniami odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Na nabożeństwie tem byli prawie wszyscy oficerowie tutejszej załogi ze swym brygadyerem jenerałem Farkaszem na czele.

„Letnicy“ Zygmunta Przybylskiego. W warszawskim teatrze „Rozmaitości“ odegrano przed kilku dniami po raz pierwszy czteroaktową komedyę sympatycznego naszego komedyopisarza p. Zygmunta Przybylskiego p. t. „Letnicy“. Sztukę tę, znaną naszej publiczności, przyjęła Warszawa bardzo życzliwie, teatr wypełnił się po brzegi, a co chwila rozlegały się oklaski i serdeczny śmiech w sali. Wykonawców miała komedya p. Przybylskiego wybornych: grali pp. Frenkiel, Wojdałowicz, Czakówna, Ostrowska i t. d. Samego autora przyjęto owacyjnie i wywołano aż dwanaście razy. Redakcya „Słowa“ urządziła dla p. Przybylskiego pożegnalny obiad, w którym wzięło udział wiele osób ze świata literacko-dziennikarskiego, jak Prus, redaktor Leo i inni. Zdrowie Przybylskiego wnieśli ks. Zygmunt Chełmicki i Antoni Zaleski. Nadto odbyły się przyjęcia sympatycznego gościa w salonach pp. Kronenbergów i Roberta Wolffa. „Letników“ grano już kilka razy w zapełnionym teatrze.

Odczyt p. t. „Ludność wolna w księdze Henrykowskiej“ wypowie dr. Antoni Małecki na zebraniu tow. historycznego w sobotę.

Kupcy *sui generis.* Piszą nam z miasta: Od dość dawna rozmaite indywidua mieniące się handlarzami dywanów perskich, napadają po domach, narzucając swój towar, oszukując łatwowiernych. Ciekawym jest sposób w jaki ci „zagraniczni kupcy“ biorą publiczność na kawał. Taki pan, któremu się udało siłą mocą dostać do obcego pomieszkania, przedstawia się jako samoistny kupiec i to zagraniczny, importujący do nas perskie dywany. Tymczasem pan ten jest sobie najzwyklejszym, często nietutejszym domokrążcą. Lecz taki „kupiec“, jeśli tego potrzeba, stawia siebie na drugi plan i kupującemu przedstawia się jako agent lub pośrednik i wmawia weń, że szef jego, zagraniczny handlarz, popadł tutaj w kłopoty pieniężne i jest zmuszony towar swój za byle co sprzedać, a towar ten nabyty w tak korzystnej dla kupującego chwili da się natychmiast z dobrym zyskiem odsprzedać. Byli tacy, co uwierzyli w taką bajkę, jednak drogo to opłacili. Przekonawszy się, że ich oszukano, chcieli swej szkody dochodzić, jednak było już za późno, gdyż ani kupca zagranicznego, ani agenta nie dało się odszukać. W kilku wypadkach kupcy ci przedstawili się jako wysłańcy pewnej firmy budapeszteńskiej, która tutaj ma swój skład, lecz interesowani przekonali się, że firma ta nie wysyła wcale ludzi swoich z towarami po domach. Ale jak nie wierzyć takiemu zagranicznemu kupcowi, albo jego agentowi, kiedy on z powagą podaje swoją kartę wizytową, na której przeczytać można, że to szef lub agent firmy światowej, a u dołu karty widnieje na pozór skromny dodatek „Wien Zollamt“, co znaczy, że firma ta ma swe składy na urzędzie celnym w Wiedniu. Czasami znowu taki zagraniczny kupiec, podstawiwszy jakieś indywiduum jako swego szefa, sam udaje jego sługusa, a czyni to dla tego, aby okpiwszy swą ofiarę, dostać jeszcze „na piwo“. Nie dziw więc, że n. p. pan X, kupiwszy na raty dywan u takiego handelesa, znalazł się w tem niemiłem położeniu, że rewers jego dostał się zaraz w ręce jakiegoś lichwiarza, który pana X. w bezczelny sposób o zapłatę reszty należytości począł nagabywać. Rzeczą więc władzy przemysłowej jest wejrzeć w tego rodzaju prowadzenie handlu i nadużyciom zapobiedz, co łatwo stać się może, byle tylko obcym nieraz i podejrzanym indywiduom nie wydawano pozwolenia na domokrąztwo.

Człowiek zwierzę. Pewna rodzina skoczków, mająca maleńki cyrczek, przejeżdżała właśnie z Ludwigstadt, w Bawaryi, do Gräfenthal. Siostra dyrektora kierowała małym wózkiem, zaprzężonym w kucyka. Nagle konik natrafił na jakiś dół, potknął się i tak się mocno uderzył, że zdechł na miejscu, zarazem wstrząśnienie wyrzuciło z siedzenia dziewczynę, która tak nieszczęśliwie spadła, że koło przeszło jej przez pierś, ciężko ją raniąc. Kiedy dyrektor trupy zobaczył co się stało, wpadł wskutek utraty kucyka w taką wściekłość, że zamiast ratować ciężko ranną siostrę, począł ją deptać nogami. Potem dobył sztyletu i zabił nim trzy inne swoje konie. Kiedy go żona upomniała i wezwała do upamiętania się, porwał siekierę i począł rąbać wielki wóz, który rodzinie służył za mieszkanie. Potem rzucił się na żonę i na pięcioro swych dzieci. Na ich krzyk przybiegła gromada silnych mężczyzn i policyant. Ale dopiero po długiej walce, przyczem łotr kłuł sztyletem na ślepo, udało się go schwytać i odprowadzić do więzienia. Jeszcze w drodze, związany, miotał on przekleństwa i groźbę na swoją rodzinę. Siostra jego i żona, ciężko poranione, oddane zostały do szpitala. „Pan dyrektor“ podobno już siedział ośm lat w więzieniu, a tytułował się Maksymilianem baronem v. Kühlern. Dwaj mężczyźni, „artyści“, należący do trupy, na widok rozszalałego dyrektora, uciekli natychmiast.

Ofiara sensacyjnego romansu. Na cmentarzu w Hernals, pod Wiedniem, rozegrała się jednej z ostatnich nocy ciekawa scena. Około dwunastej godziny zauważył grabarz, że pomiędzy grobami snuje się jakaś ładnie ubrana, młoda kobieta z rozpuszczonemi na twarz i plecy włosami. Zwracała ona uwagę na siebie przedewszystkiem głośnem monologowaniem, przerywanem śmiechem. Pokazało się, że to była obłąkana, której pomięszał myśli jakiś sensacyjny romans, bo nieustanie recytowała z niego ustępy i wyobrażała sobie, że jest jego bohaterką. Chorą nieznajomą, odwieziono na oddział psychiatryczny w wiedeńskim szpitalu.

Ofiary szulerni. Rosyjsko-gruziński książę Mikołaj Karajew przegrał w przeciągu kilku dni 800000 lir w Monte Carlo i zastrzelił się na cmentarzu w Turynie. Angielka Wathson przegrała w Monte Carlo 2 miliony i otruła się w swojej willi.

Zmarli. Helena Wisłobodzka utalentowana artystka malarka, znana pod pseudonimem „Emil Helon“, umarła w Wiedniu. — Izydor Krajewski, auskultant sądowy, umarł we Lwowie.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 10, w poł. + 14° R. Bar. 756. Pogoda.

W więzieniu.

D o z o r c a (do więźnia, który odsiedział karę): — Wychodzisz dziś z więzienia i spodziewam się, że już więcej ciebie nie zobaczę.

W i ę z i e ń: Czy pan dozorca ma zamiar opuścić służbę?

Literatura i Sztuka.

* **Arytmetyka** dla abituryentów gimnazyalnych. Pod powyższym tytułem wyszedł nakładem drukarni W. Manieckiego we Lwowie bardzo dobry podręcznik dla abituryentów, zawierający krótkie, a bardzo dokładne i zrozumiałe streszczenie arytmetyki, którą uczniowie obowiązani są zdawać podczas egzaminu dojrzałości. Podręcznik jest także nieocenionym pomocnikiem przy wypracowaniu zadań z arytmetyki. Za dobroć jego poręcza ten fakt, iż pisał go p. Mieczysław Jamrógiewicz, prof. w IV gimnazyum we Lwowie, ceniony pedagog, który bardzo dobrze wie, co uczeń powinien umieć przy egzaminie dojdojrzałości i do tych wymagań zastosował swoją „Arytmetykę“.

Rozmaitości.

— **Napoleon I jako gastronom.** W słowach tych mieści się paradoks nielada. Zapewne żaden z monarchów nie żywił takiej pogardy jak on dla wszelkich rozkoszy dobrego jedzenia. Legenda opowiada o nim, że wstrzemięźliwość posuwał tak daleko, iż żywienie się uważał za ciężką pańszczyznę. To też w niczem nie przypominał tych uprzywilejowanych istot które nazywają gastronomami.

Pomimo całej swej obojętności dla sztuki kulinarnej Napoleon I umiał jednak posiłkować się nią w celach politycznych i nie lekceważył bynajmniej uroku, jaki na pewne osobistości wywiera dobrze ułożone *menu.* Zresztą w owych czasach było przysłowiem, że „dobrzy kucharze odnoszą powodzenia dyplomatyczne“, a sławny kuchmistrz Carême formułował je w następujący sposób: „Sztuka kulinarna jest wehikułem dyplomacyi francuskiej.“ Za czasów panowania Napoleona I kuchnia francuska, zostając pod opieką cesarza, doszła do świetnego rozwoju. Dwór cesarski, dwory marszałków i ministrów odznaczały się gustem i zamożnością. Domy Talleyranda i Cambacérèsa ubiegały się o pierwsze miejsce. Jeżeli mamy wierzyć opowiadaniom kucharzy, to dwór Talleyranda był istnym przybytkiem gastronomii. Gospodarza okrzyczano królem smakoszów, gdyż sławne obiady, wydawane przez niego na 48 nakryć, miały być niezrównane. Cambacérès, jak zapewniali jego domownicy, dalekim był od tego doskonałego typu smakosza, jaki upatruje w nim historya. To też nie jemu, lecz Talleyrandowi cesarz poruczał delikatne misye połechtania podniebienia wybitnych cudzoziemców przedziwnemi ucztami.

Cesarz miał w swych usługach kucharza La Gulpiéra, współpracownika Bouchera i Caréma. Niepunktualnością swą w przyjmowaniu posiłku przyprowadzał go zwykle do rozpaczy. „Zaledwie uczuł głód“ pisze Brillant-Savarin „wymagał, żeby go zaspokajano, i usługę miał urządzoną w ten sposób, że zawsze i na każdem miejscu mógł dostać mięsa wołowego, kotletów i kawy.“ Na śniadanie potrzebował do dwunastu minut, a najwyżej pół godziny na obiad. Jadał zwykle prędko i niedbale. Zwyczaj szybkiego jedzenia przyprawiał go często o choroby żołądkowe, kończące się wymiotami. Śniadanie jadał zwykle o godzinie dziewiątej, obiad pomiędzy siódmą a ósmą. Śniadanie najczęściej jadał sam przy małym stole, nieokrytym serwetą, używał często palców zamiast widelca lub łyżki; maczał chleb w sosie, co nie przeszkadzało, że półmisek obnoszono dalej, jeżeli było więcej gości, z których nikt nie powinien był nim się brzydzić. Cesarz jadał dwie lub trzy potrawy, poczem wypijał wielką filiżankę kawy. Przy obiedzie podawano mu kilka potraw jednocześnie. Jadał z roztargnieniem wszystko, co przed nim stało, i często brał pierwej konfitury niż pieczeń. Gdy śniadał na wsi, zwykle mało troszczył się o gości. Skończywszy jeść, odchodził do salonu. Cesarzowa Józefina pozostawała przy stole, dawała znak gościom i posilano się dalej.

Stół na dworze cesarskim był zawsze bardzo obfity. Napoleon jadał dużo i z apetytem. Na punkcie chleba był bardzo wybrednym, wszystkich potraw delikatniejszych nie lubił. Z wyjątkiem *gigot* i kotletów baranich, innych gatunków mięsa nie rozróżniał; z jarzyn najchętniej jadał groszek, sałatę i soczewicę. Potrawy podawano na talerzach srebrnych, których Napoleon w roku 1806 kazał kupić od razu tysiąc. Mimo to w gospodarstwie domowem był bardzo skąpy. Często chodził z Durandem na targ, by się przekonać o cenach cukru i innych artykułów spożywczych. Nie cierpiał, żeby go służba okradała. Jenerał Durand opowiada z tego powodu charakterystyczną anegdotę. Było to podczas śniadania u cesarzwej. Napoleon, ujrzawszy na stole gorący pasztet, zapytał o cenę.

— Sire — odrzekła jedna z dam pałacowych — dwanaście franków dla W. Ces. Mości, a sześć franków dla zwykłego paryskiego obywatela.

— To znaczy, że jestem okradany.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, tylko jest zwyczaj, że królowie płacą drożej od swych poddanych.

— Tego nie rozumiem! — odrzekł żywo Napoleon. — Postaram się pod tym względem zaprowadzić porządek.

Cesarz pijał mało. Pół butelki wina, zmięszanego na pół z wodą mrożoną, stanowiło dlań porcyę dostateczną. Na noc pijał kawę z mlekiem, czekoladę lub poncz tak lekki i słodki, jak limoniada, a rano po obudzeniu napar z liści pomarańczowych lub herbatę. Po każdem jedzeniu podawano mu kawę, o której zwykle zapominał i potem pił zimną. Z tego powodu cesarzowa Józefina zaczęła mu przyrządzać kawę własnoręcznie. To samo czyniła później Marya Ludwika.

Pewnego razu Napoleon dał zabawną lekcyę gotowania cesarzowej Maryi Ludwice. Wszedłszy do mieszkania żony, poczuł jakiś niezwykły zapach. „Co się tu dzieje?—zapytał.— Czuję jakiś szczególny zapach, jakby sosu“. Marya Ludwika nie rzekła słowa, ale cesarz, przechodząc około parawanu, ujrzał ustawione za nim rozmaite utensylia kuchenne, a między innemi rondel srebrny z bitemi jajami. „Ach! robisz omlet! — zawołał. — Muszę ci pokazać, jak to się robi“. Przypasał fartuch kucharski, zrobił omlet, przypilnował na ogniu, następnie nagłym gestem przewrócił rondel i omlet znalazł się niespodzianie... na ziemi. Od tej pory nie wtrącał się już nigdy do kuchni swej żony.

W kampanii Napoleon jadał tak samo, jak w Tuilleries. Z głównym sztabem postępował zawsze kuchmistrz Dunan, którego obowiązkiem było dowiadywać się, o której godzinie cesarz zamierza się posilać.

Co bądź opowiadają, zdaje się jednak, iż na wygnaniu Napoleon więcej zaczął się interesować kuchnią. Kuchmistrz Chandelier pozostawił o stole Napoleona na wyspie św. Heleny ciekawe notatki, które Carême wydał w swem dziele p. t. „l'Art de la cuisine francaise au XIX siécle“.

Napoleon zabrał na wyspę św. Heleny marszałka dworu, kucharza (Lepage) i pasztetnika. Do pomocy, po przybyciu na miejsce, dodano im czterech chińczyków. Po dwóch latach Lepage'a zastąpił Chandelier, kucharz księżnej Borghése.

Wyspa dostarczała nienajlepszych produktów żywności. Jarzyn było mało, a bydło chude. Cesarz lubił mięso tłuste i na szczęście, na wyspie hodowała się wybornie nierogacizna rasy chińskiej, więc z wieprzowiny kucharz zaczął przyrządzać kotlety i robić kiełbasy, do których koronowany wygnaniec rychło się przyzwyczaił. Owoców nie było wcale, czasami tylko suszone sprowadzano z Chin, lub jabłka z przylądku Dobrej Nadziei. Wreszcie chleb bywał bardzo złego gatunku. Osoby ze świty cesarskiej pijały maderę i teneryfę, cesarz bordeaux i likiery miejscowe. W braku wody mrożonej pijał wodę ze źródła zimnego, w pobliżu którego później spoczęły jego zwłoki.

Pod koniec życia, jak utrzymuje Chandelier, cesarz stał się wybredniejszym w jedzeniu i zdawało się, że traci powoli smak, gdyż coraz trudniej było mu dogodzić. Pewnego razu chciał zużytkować umiejętność swych służących chińczyków i kazał im zrobić cały obiad po chińsku. Zaledwie skosztował, odrzucił z obrzydzeniem potrawy i musiano mu usmażyć na prędce dwa kotlety baranie.

Należy wszakże przyznać, iż Napoleon wywarł wpływ niemały na postęp sztuki kulinarnej Francya wydała podówczas sławnych kuchmistrzów, o których ubiegały się dwory zagraniczne, np. Caréma, który był kolejno kucharzem króla angielskiego i cesarzy rosyjskiego i austryackiego. Literatura kulinarna doszła także w owych czasach do najwyższego swego rozwoju. Pojawiły się dzieła: Berchoux, Grimoda, La Reyniéra i wielu innych. Tym sposobem Napoleon, nie będąc sam gastronomem, pośrednio przyczynił się bardzo do udoskonalenia sztuki kulinarnej. Zapatrując się z tego punktu widzenia, prawie można pojąć zabawne, choć nie pozbawione melancholii, zdania autora „Almanachu smakoszów“: „Gdyby cesarz pcświęcił się raczej kuchni, niż wojnie, któż wie, jak dalekoby zaszedł“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 8 maja.

(Z.) Jak na dane hasło rzuciło się dziś wszystko do sprzedaży. Osobliwie rzesze drobnych spekulantów okazywały wielką trwogę i starały się nawet ze stratą pozbyć się swych walorów. Powodem tej obawy jest niepomyślny dla sfer giełdowych przebieg debaty w węgierskiej Izbie magnatów nad ustawą o ślubach cywilnych. Obliczają, że przeciwnicy tej ustawy będą mieli przynajmniej 18 głosów większości. Opowiadano, że gabinet Wekerlego będzie musiał podać się do dymisyi. Największa zniżka panowała w walorach węgierskich, wszelako i nasze walory znacznie ucierpiały. Najmniej stosunkowo dotknięte były zniżką walory przemysłowe. Targ berliński wciąż jeszcze jest bezsilny, a i paryska giełda była dziś skłonną ku zniżce. Opowiadano tam dziś o wybuchu rewolucyi w Argentynie. Cena złota podrożała dziś w Londynie pomimo, że z Ameryki nadeszło kilka znacznych transportów tego kruszcu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 353·25, węgierskie 429·50, Anglobanki 151·—, Uniony 257·75, Bankvereiny 127·—, Länderbanki 249·70, Ludwiki 216·40, Czerniowieckie 278·—, Elbethale 264·75, Renta papierowa 98·50, srebrna 98·30, austryacka złota 120·20, 4% austr. renta wal. kor. 97·95, węgierska złota 119·40, 4% węgierska renta wal. kor. 95·05, dukat 5·93—, 20-frankówka 9·93—, marki 12·23, ruble 1·33¾.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 10go maja.

Usposobienie niezmienne, jedynie ceny produktów pastewnych z powodu słabszych dowozów i podwyższonego frachtu na rosyjskich kolejach, — w ostatnich dniach się podniosły, natomiast strączkowe produkta zupełnie zaniedbane.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·— do 7·30, Żyto gotowe 5·— do 5·70, Owies obroczny 6·20 do 6·60, Jęczmień 4.50 do 6·—, Rzepak —·— do —·—, Groch 6·— 8·—, Wyka 7.50 do 8·25, Bobik 5·25 do 5·50, Hreczka 7·— do 7·50, Kukurudza (stara) 5·10 do 6·—, Kukurudza (nowa) 0·00 do 0.00, Chmiel za 56 kilo 75.— do 85·—, Koniczyna czerwona —·— do —·—, Koniczyna biała —·— do —·—, Koniczyna szwedzka —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 14·75 do 15·—, Lnianka 0·00 do 0·00, Anyż —·— do —·—, Siemię konopne 0·00 do 0·00, Tymotka —·— do —·—.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 10 maja. (*Rada państwa*). Wczoraj toczyła się dalej debata nad przedłożeniemi walutowemi. Za temi przedłożeniami przemawiali pp. Suess i Peez (z lewicy), a przeciw przedłożeniom pp. Dipauli i Morsey z klubu Hohenwarta, tudzież antysemici Pattai i Lueger. P. Peez zapytał ministra finansów, czy rząd zamierza zająć się uregulowaniem obrotu czekowego. Konserwatysta Morsey oświadczył, że odrzuca obecne przedłożenia nie z politycznych, ale tylko z ekonomicznych motywów. P. Suess wykazywał, że konieczną jest rzeczą, aby narody zbliżone do siebie pod względem ekonomicznym miały jednolity system monetarny.

Dalszy ciąg debaty odbędzie się dziś.

Peszt 10 maja. W izbie magnatów nie ukończono wczoraj debaty nad projektem ustawy o ślubach cywilnych. Za ustawą przemawiali między innymi protestancki biskup Szasz i ban Kroacyi Kuhen-Herdervary, przeciw ustawie zaś przemawiał ks. kardynał Schlauch i metropolita rumuński Roman. Minister sprawiedliwości Szilagyi starał się zbić zarzuty podniesione przez kardynała Schlaucha i metropolitę Romana i dowodził, że przedłożenie to ma na celu jedynie przywrócenie prawnej i politycznej jedności między narodowościami i wyznaniami.

Nastąpiła teraz burzliwa scena. Członkowie prawicy domagali się bowiem przystąpienia do głosowania, liberałowie zaś żądali odroczenia debaty. Prezydent naznaczył na dziś dalszy ciąg debaty. — Na placu i w parku przed gmachem izby panów zebrały się wielkie tłumy i urządziły hałaśliwą owacyę protestanckim biskupom i liberalnym ministrom, do tych zaś członków izby magnatów, którzy są przeciwni ślubom cywilnym, wołano: „precz“.

Peszt 10 maja. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu wniesiono interpelacyę w sprawie demonstracyi ulicznych w Klausenburgu z powodu procesu przeciw autorom znanego memorandum. Prezes gabinetu Wekerle zapewnił, że rząd przedsięwziął wszystkie środki ostrożności i nie będzie ograniczał ludności rumuńskiej w prawie wypowiadania swej opinii, dopóki porządek publiczny nie będzie zagrożony.

W Klausenburgu bawi obecnie tylko około 600 Rumunów z zagranicy i proces odbywa się w porządku, nie ma zatem potrzeby przedsiębrania nadzwyczajnych zarządzeń. Z pism zagranicznych wysłały swoich sprawozdawców na rozprawę tylko niektóre dzienniki rumuńskie i włoskie. Telegramy uwłaczające godności Węgier z urzędu są konfiskowane. Zresztą postarał się rząd o to, aby prasa zagraniczna miała wiarygodne informacye i zwrócił jej uwagę na tendencyjne sprawozdania niektórych agitatorów.

Klausenburg 10 maja. W procesie przeciw owym Rumunom, którzy ułożyli memoryał do Cesarza z zażaleniami na ucisk narodowości rumuńskiej, odebrano wczoraj generalia od oskarżonych. Na pytanie przewodniczącego czy byli kiedy poprzednio sądownie karani, odmówili oskarżeni odpowiedzi. Obrońcy oskarżonych postawili następnie wniosek o odroczenie rozprawy, gdyż daje ona powód do demonstracyi ulicznej gawiedzi, skutkiem czego bezpieczeństwo oskarżonych jest zagrożone. Trybunał odmówił temu żądaniu i w uchwale swej skonstatował, że oskarżeni są zupełnie bezpieczni i nie tylko nie obawiają się niczego, lecz przeciwnie, jak to burmistrz sprawdził, sami zachowują się wyzywająco. Dalszą rozprawę odroczono na dziś.

Po rozprawie wczorajszej urządziła młodzież rumuńska oskarżonemu Lucaciu owacyę na rynku, młodzież węgierska zaś poczęła gwizdać i krzyki wyprawiać. Policya rozpędziła jednych i drugich.

Wiedeń 10 maja. Komisya kolejowa przyjęła przedłożenie rządowe co do tych kolei lokalnych, których budowa ma być jeszcze w roku bieżącym zapewniona i na wniosek Burgstallera uchwaliła rezolucyę wzywającą rząd o popieranie budowy kolei lokalnych w Istryi i Gorycyi. Minister handlu Wurmbrand oświadczył, że wypracowano już projekt ogólnej ustawy o kolejach lokalnych zawierający bardzo daleko idące ulgi zarówno co do budowy jak i prowadzenia ruchu na tych kolejach. Projekt ten przedłożony będzie Radzie państwa w jesieni.

Praga 10 maja. Wczoraj ogłoszono wyrok przeciw sprawcom zamachów dynamitowych w Rakonicach. Wszystkich uznano winnymi zbrodni przekroczenia ustawy o przechowywaniu środków wybuchowych, usiłowanego wymuszenia, gwałtu publicznego i kradzieży i skazano Schmida i Schwacha każdego na 3 lata ciężkiego więzienia, Nataliego zaś i Kolarza, każdego na 1½ roku ciężkiego więzienia.

Grac 10 maja. Cesarz niemiecki przesłał namiestnikowi Styryi br. Kubeckowi telegram, w którym gratuluje serdecznie szczęśliwego ocalenia turystów zamkniętych w jaskiniach Lurloch i zapewnia, że codzień z najwyższem zajęciem dowiadywał się o ich losie.

Ateny 10 maja. Poseł austryacki Kosjek wręczył imieniem swego rządu kwotę 5.000 franków komitetowi, zajmującemu się niesieniem pomocy ludności nawiedzonej trzęsieniem ziemi.

Peszt 10 maja. Izba magnatów na dzisiejszem posiedzeniu *odrzuciła większością 21 głosów projekt ustawy o ślubach cywilnych.*

Wiedeń 10 maja. Na dzisiejszem posiedzeniu izby posłów wniesiono interpelacyę w sprawie wypadków w Polskiej Ostrawie i starcia robotników z żandarmeryą i zażądano od rządu wyjaśnienia co do liczby zabitych i rannych.

Pernerstorfer postawił wniosek, aby wybrano komisyę śledczą z 20 członków i posłano ją na miejsce wypadku celem przeprowadzenia dochodzeń. Nadto żalił się Pernerstorfer, że władze same wywołały krwawe starcie w Falkenau, gdyż przez kilka tygodni zabraniały urządzenia zgromadzeń, że zabici i ranni otrzymali postrzały w plecy, a zatem już wtedy, gdy uciekali i że krewnym zabitych nie pozwolono zobaczyć zwłok.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie. Wszystkim osobom, które raczyły wziąć udział w obrzędzie pogrzebowym śp. Michaliny z Janiszowskich Maramorosz, nauczycielki szkoły im. św. Zofii, składa rodzina serdeczne podziękowanie.

Podziękowanie.

W nieutulonym żalu po stracie syna naszego Kazimierza nie czujemy się na siłach, aby wszystkim tym, którzy ostatnią posługę chrześcijańską oddali albo słowo współczucia przysłali, osobiście wdzięczność naszą wyrazić. Dlatego na tem miejscu wypowiadamy serdeczne „Bóg zapłać“.

Felicya z Mierzeńskich i Leopold Warchałowscy.

Wiedeń dnia 10 maja. (godz. 11 w południe. Kredyty 353.37, kred. węgierskie 430.—, Anglob. 152.75, Uniony 257.75, Bankvereiny 127.25, Länderbanki 249.10, Akcye tytoniowe 217·50, Staatsbahny 341·87, Lombardy 103.50, Elbethale 265.50 Renta papierowa 98.60, Renta węg. 4% kor. 95·12 Renta węg. złota 4% 119,25, Alpiny 70.40, Marki 61·30, Losy tur. 64.20.

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

Odchodzą do

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·00	10 46	5·26	11·11	7 31
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	11·56	—
Podw. Podza.	6·58	3·32	10·40	11·23	—
Czerniowiec	6·51	—	10·51	3·31	10.06
Stryja	—	—	6·16	10·26	3·41
Bełzca	—	—	9·55	7 11	—

Przychodzą z

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·03	6·01	6 46	9·36	9·36
Podwołoczysk	2·48	10 05	6 21	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	9·49	9·21	5·55	—
Czerniowiec	10·16	—	7·11	8·13	1·03
Stryja	—	—	9·10	9 23	12 46
Bełzca	—	—	8·24	5·21	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

48)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Robert z podniesioną głową i błyszczącemi oczyma stał i czekał dopóki pan Combremont nie raczy go zapytać.

Nareszcie sędzia potrząsnął kilka razy głową jak gdyby dla odpędzenia jakiejś myśli natrętnej i rozpoczął badanie.

Robert niczego nie ukrywał, ani plamy swego urodzenia, ani opuszczenia, ani nędzy, ani walki o życie. I dla czegóżby miał ukrywać? Sumienie nic mu nie wyrzucało, a Helena, której również szczegółowo opowiedział swe życie, nie tylko oceniła go, lecz ukochała.

Ale na panu Combremont szczera spowiedź jego uczyniła wrażenie inne.

— Tym sposobem — odrzekł — już od czternastego roku życia objawiłeś pan usposobienie buntownicze i włóczęgowskie. Uciekłeś od uczciwych rolników, by wałęsać się po świecie. Źle rozpocząłeś życie i dowiodłeś tem instynktów jak najgorszych.

— Przepraszam pana sędziego — przerwał mu Robert. — Nie włóczyłem się, jak pan mówi, ale po przybyciu do Paryża udałem się natychmiast do fabryki, z której wyniesiono mnie do szpitala. Po wyzdrowieniu wziął mnie do siebie stolarz, nauczył mnie rzemiosła i chociaż wiele razy proponowano mi pracę o wiele korzystniejszą, nie opuściłem go jednak. Dopiero po jego śmierci zacząłem pracować w fabryce pana Jeandon, w której pozostawałem do dni ostatnich.

— Dla czegoż, wychodząc z pracowni w czwartek wieczorem, nie uprzedziłeś go pan, że nie przyjdziesz dnia następnego?

Robert zrozumiał manewr sędziego i nic nie odrzekł.

— Odpowiadaj pan! — zawołał Maurycy.

Robert pochylił głowę i odrzekł smutnie:

— I na co? Alboż mi pan uwierzysz?

— W każdym razie, mów pan.

Wtedy Robert, nie opuszczając żadnego szczegółu, opowiedział całą swą rozmowę z Teresą.

— Po cóż było jechać do Anglii, skoro weksel ten można było zdyskontować w pierwszym lepszym banku paryskim?

— Pani Dangely, nieobeznana ze sprawami bankowemi, była przekonaną, że tylko pan Clarkson może wypłacić jej pieniądze.

— I pan miałeś to samo przekonanie?

— I ja tak myślałem.

— I komu pan to gadasz? Pan, człowiek wykształcony, którego mieszkanie zapchane było zeszytami i notatami ze wszystkich nauk i spraw, nawet finansowych?

— Myli się pan sędzia. Pracowałem nieco nad matematyką, lecz nigdy nad sprawami finansowemi. A co do kwestyj bankowych tyleż wiedziałem co i pani Dangely.

— Nie wierzę temu. Co pan powiedziałeś panu Clarksonowi, że on, człowiek fachowy, a więc ostrożny, wydał ci tak znaczną sumę?

— Nic nie powiedziałem. Wręczyłem mu list jego własny do pani Dangely, weksel wystawiony na okaziciela i powiedziałem moje nazwisko. A ponieważ Andrzej mówił mu wiele o mnie w Guyanie, więc pan Clarkson wypłacił mi pieniądze bez żadnej trudności.

— W Guyanie? Więc bankier ten jeździł do Guyany?

— Powrócił stamtąd przed kilkoma dniami. Możesz pan to stwierdzić...

— Gadasz pan!... Gdzie sprawdzę?... Wiesz pan bardzo dobrze, że Anglik ten, oryginał jak wszyscy Anglicy, nie powiedział nikomu dokąd jedzie i zkąd powrócił. I właśnie dla tego, że wiedziałeś pan o jego tajemniczej podróży, opowiadasz mi jakieś anegdotki. Możesz pan się w to bawić, ale ja nie dam się złapać.

Robert nic nie odrzekł. Widział, że sędzia uprzedzony był przeciw niemu.

— Dziwna rzecz — odezwał się po dłuższem milczeniu sędzia — że panna Helena de Rochebelle była tak zaślepiona i tak nie umiała poznać się na panu.

Robert, usłyszawszy po raz pierwszy wymówione przez sędziego jej imię, zbladł jak trup. Rozumiejąc, że podczas badania niejednokrotnie będzie mowa o Helenie, w jednej chwili zdecydował się na postawienie tej kwestyi jasno.

— Czy panu sędziemu wiadomo — odrzekł — w jakich okolicznościach poznałem pannę Rochebelle?

— Cóż mnie to obchodzi? Dla takiego awanturnika, jakim pan jesteś, wszelkie okoliczności i sposoby są dobre.

Robert drgnął na tę zniewagę. Wyprostował się i odrzekł z godnością?

— Sądziłem, iż urzędnik francuski niezdolny jest poniżyć się do znieważania człowieka bezbronnego...

Teraz pan Combremont zbladł, usłyszawszy tę surową lekcyę.

— Mów pan dalej — odrzekł, zagryzając wargi.

— Wiele kosztuje mnie opowiedzieć — rozpoczął Robert — w jaki sposób poznałem panią Dangely, ale chwila obecna jest dla mnie zbyt straszną, bym miał krępować się skrupułami i skromnością.

Teresa konała. W domu nie było ani grosza na lekarstwa i jakąkolwiek pomoc. Andrzej, pracujący u człowieka bez serca i sumienia, musiał albo opuścić swą żonę, lub zrzec się kawałka chleba, tak ciężko zarabianego u swego pracodawcy.

— Mogli udać się o pomoc do rodziców pani Teresy.

— Nie mam prawa mówić, dla czego nie uczynili tego. Opowiadam co widziałem własnemi oczyma i nie wdaję się w krytykę.

Pewnego wieczora usłyszałem jęki i łkania, dochodzące z poddasza obok mojej pracowni. Zapukałem w drzwi i ofiarowałem swe usługi. Przyjęto je. Na to mam świadka, który mnie widział w owej chwili i któremu nie możesz pan odmówić wiarogodności: jest nim doktór Prunier. On sam powiedział, że ocaliłem Teresie życie. Wierzę w to i dziś zwłaszcza jest to dla mnie szczęściem! Wiem również, że tak ona, jak i jej mąż czują dla mnie wdzięczność wielką. Od tego czasu nie mieli przedemną tajemnic i uważali mnie za brata.

Zdarzyło się, że jednego dnia do łoża niebezpiecznie chorej Teresy przybyła jej siostra. Widziała z jaką troskliwością pielęgnowałem panią Dangely w dzień — gdyż mąż jej musiał iść do pracy — i często w nocy, gdyż potrzebował odpocząć. Widziała, że oddałem Teresie wszystko, co posiadałem: mojo mieszkanie, własne łóżko i oszczędności. Wtedy za to, co uczyniłem, odpłaciła mi sercem.

Bóg mi świadkiem, że nic nie czyniłem *dla* zyskania go. Zbyt małą byłem figurą, bym śmiał wznieść oczy tak wysoko. Byłem robakiem pełzającym, ona była gwiazdą. Mogłem ją pokochać, ale jak robak ziemny milczeć o mej miłości przez całe życie.

— Są to puste słowa! — odrzekł pan Combremont wściekły, domyślając się, jak wielka, głęboka miłość musiała łączyć te dwa szlachetne serca.

Ale Robert mówił dalej z tym samym spokojem i godnością:

— Puste słowa, panie sędzio! Niech pan zapyta miss Andrew, w obecności której odbyły się nasze zaręczyny, w jakich wyrazach Helena zawiadomiła ją o swej miłości, o której ja nie wiedziałem wcale i dla czego oddała mi swe serce i rękę. Przecież miss Andrew żyje i Helena również... Chyba pan im uwierzy... to kobiety uczciwe... Jakakolwiek fatalność ściska mnie dzisiaj w swych rękach żelaznych, jakiekolwiek przekonanie mogą one mieć dzisiaj o mnie, o mej przeszłości przecież powiedzą prawdę.

— Przypuszczam. Więc cóż panu z tego?

— Och, niech pan nie udaje, że nie rozumie mnie! Jakto! Ja, narzeczony Heleny de Rochebelle, ja, który ocaliłem życie Teresie, ja miałbym ją nikczemnie zamordować!

— By ją okraść i z pieniędzmi uciec do Ameryki, skąd po kilku latach powróciwszy bogatym, zaślubiłbyś pannę Helenę.

— Ależ Helena oddawała mi swą rękę wtedy, gdy nie miałem nic więcej nad nadzieje artystyczne. Uczyniła nawet więcej, nauczyła się bowiem pracy, która przynosiła jej już dochód i która mogła nasz byt polepszyć w przyszłości.

Pan de Combremont nic nie odrzekł.

Robert, widząc, że sędzia był przeciw niemu uprzedzony i że nic nie zdoła zachwiać jego przekonania, wpadł w rozpacz.

— Ach! — szepnął, podnosząc dłonie do czoła — czemuż cię nie ma biedna Tereso? Dla czego nie możesz podnieść się ze swej trumny i powiedzieć prawdy? Wszystkie te tortury, jakich doznaję, ustałyby natychmiast.

Sędzia skrzywił usta jakimś niewyraźnym uśmiechem, nie powiedział jednak nieszczęśliwemu, że jego pragnienie zostało wysłuchane, że pani Dangely żyje. I badał dalej, przytaczając wszystkie przeciw Robertowi dowody, świadectwa, zbieg okoliczności i fatalności.

Ale ten niewzruszenie, bez najmniejszej zmiany powtarzał prawdę.

Tylko że prawda ta była zbyt prostą, naturalną, by sędzia chciał w nią uwierzyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: *Wacław Masłowski.* — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni pod. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.